Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 30 (1818) • 25–31 lipca 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Grupa rekonstrukcyjna klęski wyborczej

str. 7

RZĄD ŻYWYCH TRUPÓW

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 30

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 2cbfbc2498

WOJNA DOMOWA

W środę rano, o godz. 10:07 (nawiasem mówiąc: dlaczego Tusk zawsze na konferencjach prasowych pojawia się spóźniony, niczym primabalerina na bankiecie?) kolektywnie wstrzymany dech narodu został wypuszczony. Poznaliśmy z dawna wyglądany skład nowego rządu (szerzej o tym na str 7.). W skrócie: dupy nie urywa.

Premier jest jednak wyraźnie zadowolony, że jeszcze raz udało mu się sklecić Radę Ministrów w oderwaniu od kompetencji jej członków. Przemawiał długo i z przyjemnością: było i o czarnych łabędziach, i o potędze polskiego oręża, i o konfrontacji dobra i zła – czyli koalicji 15 października i PiS-u – i nawet o tym, że jeszcze Polska nie zginęła, dopóki gabinet Tuska utrzymuje się przy władzy. Szczególnie ujęło nas zdanie następujące: „Są polityczni łajdacy, którzy są gotowi z każdego problemu, z każdego lęku, z każdego strachu robić polityczne złoto". W ustach szefa rządu, który od 18 miesięcy nie zajmuje się niczym innym niż tylko straszeniem Rosją, wojną, opozycją i uchodźcami – to doprawdy zaskakujący przejaw samoświadomości.

Zanim Tusk ogłosił skład nowego rządu, politycy koalicji, demonstrując imponującą dyscyplinę (albo strach), na wszystkie pytania odpowiadali „pomidor" – a tak konkretnie: „środa, dziesiąta rano". Świat dziennikarski żył zatem przeciekami i spekulacjami. Nas najbardziej ucieszyły te, które dotyczyły limuzyn wjeżdżających we wtorek do Kancelarii Premiera. Koledzy założyli – skądinąd nie bez racji – że ci, co wjeżdżają, wylatują, więc ci, co nie wjeżdżali, czuli się wyraźnie wyróżnieni. Wicepremier Gawkowski na przykład z prawdziwą satysfakcją opowiadał dziennikarzom, że widział premiera wczoraj i przedwczoraj, ale dzisiaj nie – niczym prymus, który w dzień wagarowicza czuje się dumny, że nie został wezwany do wychowawcy.

Kosiniak-Kamysz, któremu Tusk wykopał ministra Siekierskiego, ale w zamian dał ministrów Krajewskiego i Motykę, ogłosił z chłopięcym zapałem: „Zmiany w drużynie, która gra mecz, są normalne: nawet ci, którzy strzelają bramki, schodzą z boiska, jeżeli się wymienia zawodników, to nawet Ronaldo schodzi z boiska". Czarzasty, którego stan posiadania w zasadzie się nie zmienił, odniósł się do awansu Sikorskiego: „Trzeba umieć między kroplami deszczu się poruszać, bo jest wojna za granicą, a Sikorski to umie. Widziałem go: była ulewa, szedł do mnie sto metrów z rozłożonymi ramionami i przyszedł suchy". To urocze. Warto tylko przypomnieć, że jest to anegdota o Anastasie Mikojanie: jedynym członku partii leninowskiej, którego nie imały się żadne represje ani czystki – ani za Stalina, ani za Chruszczowa – i który był członkiem KC kolejnych partii, od WCIK do KPZR, od roku 1920 do swojej śmierci w 1978. Nie jesteśmy pewni, czy Sikorski jest zachwycony tym porównaniem.

Szymon Hołownia, nadal czołgany przez prorządowe media za nocną schadzkę z Kaczyńskim na chacie u Bielana, nabiera niejakiej wprawy w odpieraniu zarzutów. Ostatnio czyni to w tonie wręcz filozoficznym: „Uważam, że wybory 2023 r. nie były walką między dobrem a złem. Uważam, że wprowadzanie manichejskich podziałów do polityki niczemu dobremu nie służy. Polityka nie jest obszarem walki szatana z Najświętszą Panienką, a granica między dobrem a złem nie przebiega między tym czy innym politykiem, tylko przez serce każdego z nas". I jeszcze dołożył z drugiej mańki zdaniem wielokrotnie złożonym: „Dlatego ja nie patrzę na moich przeciwników politycznych jak na wcielenie szatana; patrzę na nich jak na ludzi, którzy chcą dbać o Polskę – bo wierzę często w ich szczere intencje – w kompletnie nieodpowiadający mojemu zdaniu o dobru Polski sposób". Czego jak czego, ale biegłości w języku polskim nie sposób Panu Marszałkowi odmówić.

Sejmowa Komisja do Spraw Petycji odrzuciła petycję w sprawie wprowadzenia podatku od bezdzietności, zwanego też bykowym. Petycja postulowała, aby bezdzietni po trzydziestce płacili 200 proc. składki emerytalnej, a małżeństwa z jednym dzieckiem – 150 proc. Oferowała jednak wyjątki dla tych, którzy są w stanie udowodnić, że są bezpłodni albo ich dziecko umarło. Ów poniekąd humorystyczny postulat serio komentował poseł PO i były szef SLD Grzegorz Napieralski: „Jestem zwolennikiem jednak zachęty i namawiania Polek i Polaków do tego, żeby rodzili dzieci". My poszlibyśmy krok dalej: jesteśmy za tym, żeby Polacy rodzili dzieci, żeby Polki nie musiały.

Trumpowy kandydat na ambasadora w RP Thomas Rose, Żyd ortodoksyjny i równie ortodoksyjny syjonista, stanął przed komisją spraw zagranicznych senatu USA, która zatwierdzała jego nominację, i wygłosił rewolucyjną w środowiskach proizraelskich tezę, że „Polska nie była sprawcą Holokaustu, tylko jego ofiarą". Zanim ktoś zachłyśnie się jego poszanowaniem dla naszej ojczyzny, zacytujmy kilka wypowiedzi Rose'a dla Tefałenu: „Prawdopodobnie będę miał najłatwiejszą pracę z całego amerykańskiego korpusu dyplomatycznego. Polska tak naprawdę może być traktowana w Stanach Zjednoczonych jak nasz 52. stan. Po Kanadzie oczywiście".

AWŁ

Z głębokim bólem przyjęliśmy wiadomość, że 18 lipca 2025 r. odszedł

Wiesław Dębski

Były redaktor naczelny „Trybuny", człowiek lewicy, towarzysz dziennikarskiego trudu, Przyjaciel.

Żegnamy Cię, Wieśku
Przyjaciele z „NIE"

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

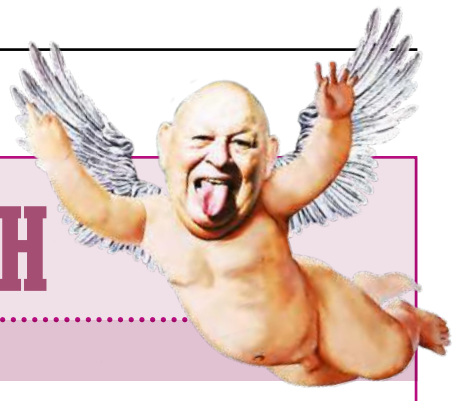

Lipiec 2013 r.

Świętej Marletty

Chrystus zdziwiony, przedstawiony z tą miną w „NIE", obraża uczucia religijne i jest karykaturą bóstwa – uznała prokuratura i pośpieszyła oskarżyć mnie o przestępstwo.

Sam przepis prawny jest nonsensowny, gdyż obrażać można osoby lub zbiory ludzi, a nie uczucia, np. miłość, nienawiść, strach, litość.

Nie może istnieć karykatura Jezusa, gdyż nie wiadomo, jak wyglądał. Nie sfotografowano go ani nie namalowano z natury. Deformować można więc tylko czysto ludzkie, dowolne wyobrażenia o urodzie zbawiciela.

Chrystus frasobliwy jest obiektem kultu, a zdziwiony obrazą boską? Gdzie tu logika?

Zdumiony Jezus stanowi ilustrację artykułu o paskudnych poczynaniach księży i klerykalizacji państwa. Kto ma dobre mniemanie o Chrystusie, nie powinien się dziwić, że Jego to dziwi. I tak po piąte, po szóste, po dziesiąte.

Prasa i inne media politycznie różnorodne krytykują funkcjonowanie prokuratury. Nie dziw, że ona stara się ograniczać wolność wypowiedzi. Nawet korporacyjnej prywaty nie należy jednak uprawiać w sposób durny.

O motywy wchodzenia Kościołowi w dupę pytać proszę prokuraturę Warszawa-Mokotów.

Świętego Raula

Instytut Psychologii PAN za zagraniczne pieniądze prowadzi badania „Rodzina z wyboru". Dotyczą one rodzin homoseksualnych. Joanna Krupska ze Związku Dużych Rodzin 3+ krytykuje w „Rzeczpospolitej" te poczynania: „Brakuje aktualnych badań dotyczących dużych rodzin". Nie brakuje. Wiadomo, że w statystycznej skali są one zagłębiem biedy i nieuczestnictwa w kulturze, życiu społecznym i awansie. Warto jednak zbadać, w jak wielkiej skali ułomności te dziedziczone są przez dzieci pochodzące z wielorództwa. Propaganda mnogiego dzieciorobstwa wyraża chęć degradowania ludzi w imię mnożenia przyszłych płatników na rzecz ZUS. W istocie rozmnaża się przyszłych bezrobotnych i klientów pomocy społecznej. Nawet dla państwa marny to interes.

Świętego Thibanta

Lipiec schodzi nam z Daniszewską na omawianiu menu na moje urodziny. Dużo sporów. Szukamy teraz eksperta, który orzeknie, czy fois gras oblane calvadosem-starką można też posypać kawiorem z bieługi. Z innych nowin: bratu z Białegostoku naszej suki Feli operowano przepuklinę. Stan psa stabilny. Koty, u których mieszkamy, znów upolowały wiewiórkę i nadgryzioną nieboszczkę przyniosły Daniszewskiej w upominku, plamiąc dywan. Odwetem za dywan było czyszczenie myśliwym zębów.

Świętej Amandy

Przed warszawskim hotelem Hyatt, gdzie w sali balowej odbywały się urodziny gen. Jaruzelskiego, nacjonalistyczni radykałowie demonstrowali do fasady budynku, bo wewnątrz byli niesłyszalni. Tego typu demonstracje stały się rodzajem rytuału dzikiego szczepu. Krzykacze wyrażali pogląd, że Jaruzelski był Hitlerem, jest zbrodniarzem i powinien zostać powieszony. Hitler spowodował śmierć 50 milionów ludzi, przeciwnicy Jaruzelskiego obarczają go polityczną odpowiedzialnością za 50 zgonów. Ośrodki wczasowe, gdzie internowano w stanie wojennym, mało przypominały obozy koncentracyjne, a jeszcze mniej obozy zagłady. Paradoks logiczny polega jednak na tym, że nacjonalistyczni radykałowie posługują się faszystowskimi ideami, gestami i symbolami, a zarazem śp. Adolfa używają jako miary skrajnego zła.

Świętego Ulricha

Mieszkańcy innych dużych miast uważają, że Warszawa jest brzydka, a jej ludność nieprzyjemna. W PRL mieszkańcy Katowic czy Poznania cisnęli się do stolicy. Tu było główne miejsce karier, lepsze zaopatrzenie sklepów i więcej wolności, gdyż mniejsza zależność od lokalnej władzy.

Teraz do stolicy pchają się tylko politycy i urzędnicy, aby zyskać awans w swoich hierarchiach. Zmieniłbym herb Warszawy z ryby z cyckami na teczkę. Głupstwa gadam – za dygnitarzami nie noszą już teczek. Zastąpiły je przyrządy elektroniczne, a cycki są w nich.

Świętego Benoita

Nieboszczyk Karol Wojtyła ma awansować na świętego, gdyż kobiecie, której nie znał, wessał się guz w mózgu. Znaczy to, że w Polsce podwoi się liczba pomników, szkół czy ulic imienia JP2. Potem Wojtyła zostanie przenajświętszym i nawet synagogi oraz burdele będą jego imienia. Kościelna hierarchia jest jedyną, gdzie można awansować po śmierci. Pomimo to kleryków jest coraz mniej, w odróżnieniu od klerykałów. Istniejącym jeszcze uczniom seminariów radzę kupowanie czerwonych butów. Papieża Jana Pawła II wyróżniał głównie kolor obuwia.

Świętego Oliviera

Ostatnio sporo osób chce ze mną rozmawiać. Nikt jednak nie pragnie tego drugi raz.

Onże św. Oliviera

PiS-owi rośnie, gdyż obiecuje zadłużyć kraj na rzecz deficytowego przewoźnika narodowego, narodowego, więc upadłego przemysłu stoczniowego. Obiecuje budować pomniki i muzea, wspomagać ojca Rydzyka, inscenizować minione bitwy, dołożyć służbie zdrowia i nauczycielom.

Gdyby PO obliczyła, ile każdego obywatela kosztować będzie program PiS, zmieniłoby to notowania na korzyść Platformy. Co do Gronkiewicz-Waltz – zamiast pokazywać tę drażniącą postać, puszczałbym bez komentarza zręcznie zrobiony film przedstawiający widoczki z Warszawy za prezydentury miejskiej Lecha Kaczyńskiego i te same teraz.

Świętego Joela

Polska w pigułce. Dostaje się baba do lekarza. Ten wreszcie pyta: – A co pani nie dolega? – Rewolucja w Egipcie.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Stowarzyszenie Jana Pawła II** w Kalwarii Zebrzydowskiej zorganizowało Festiwal Ogórka. Skandal! JP2 nigdy nie zakisił ogóra!
- Jak informuje **Radiomaryja.pl,** zwycięstwo Karola Nawrockiego pokrzyżowało plany Niemiec. Niemcy przestraszyli się honorowej ustawki.
- **Papież Leon XIV** powiedział, że przemysł turystyczny nie oferuje nam tego, czego szukamy. Ojciec Święty zapewne ma na myśli Tajki z penisami.
- **Kardynał Ryś** poprosił o bardziej jezusowy sposób wypowiedzi w temacie migracji. Czyli można wybierać między językiem aramejskim a hebrajskim.
- **Donald Trump** zmienił zdanie i chce wyjaśnienia afery Epsteina do spodu. Od spodu były nieletnie dziewczynki, często imigrantki.
- **Empik** wycofał sprzedaż książki „Debil". Na szczęście powieść „Idiota" Dostojewskiego jest ciągle dostępna.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Zdrada i kara

Uprzejmie chcę poinformować prezydenta Polski Andrzeja Dudę, że niestety jestem „bezczelnym zdrajcą i warchołem". Nie widzę więc innej kary jak tylko pozbawienie mnie życia najlepiej przez powieszenie. Może to odstraszyłoby innych obywateli, aby przestali knuć przeciwko Polsce.

Jestem wrogiem państwa narodowego. Uważam, że najpierw powinny być brane pod uwagę racje europejskie, a dopiero później poszczególnych państw. Uważam się za kosmopolitę i w związku z tym sprawy Europy i świata są dla mnie ważniejsze niż Polski. Jestem gorącym zwolennikiem świeckiego państwa i rozdziału od Kościoła katolickiego. Jestem też ateistą i wrogiem państwa wyznaniowego. Wiadomo, że kiedyś takich ludzi palono na stosach lub wieszano. Może warto wrócić do tych chlubnych katolickich tradycji.

Widać więc jasno, że moje warcholstwo i zdrada interesów Polski są nie do zaakceptowania. Jest zdrada, powinna być też i kara. Proszę więc o jakieś szybkie i ostateczne rozwiązanie moich działań przeciwko Polsce, panie Duda, bo nie jesteś moim prezydentem. Dla mnie to pan jesteś zdrajcą i warchołem.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Nie idźmy tą drogą

Czytam „NIE" prawie od początku. Zawsze czytam z ciekawością artykuły pani Agnieszki Wołk-Łaniewskiej. Jednak to samozadowolenie z jakiegoś ułamka procentowego pani Joanny Senyszyn obu pań już mnie zmęczyło. Również linia pisma staje się lewacka niestety. Kopanie po brzuchu Koalicji Obywatelskiej prowadzi do wiecznego panowania tylko i wyłącznie PiS-u. Nie będzie rozbicia duopolu, bo przyjdzie coś gorszego. Nie idźcie tą drogą.

Tomasz Sprawka

List otwarty do Michała Kamińskiego

Z ciężkim sercem zagłosowałem na pana. Pamiętałem o pańskim haniebnym entuzjastycznym stosunku do Pinocheta. Naiwnie sądziłem, że pan się zmienił.

Tymczasem pan się przefarbował, aby tym skuteczniej działać na rzecz polskiej odmiany faszyzmu.

Przesyłam wyrazy potępienia, nienawiści i pogardy.

Pański oszukany wyborca

eprasa.pl 2cbfbc2498

Piętnaście osób, nie licząc psa

W Łodzi faszole nie starli się z lewactwem

Wydarzenie obiecywało być – że się tak wyrażę – barwnym. Zarówno organizowana przez Konfederację manifestacja antyemigrancka, jak i kontrmanifestacja środowisk lewicowych miały odbyć się w tym samym miejscu, nieopodal Urzędu Miasta na ul. Piotrkowskiej 106. Manifestanci jednej i drugiej grupy przedzieleni mieli być jedynie cienką linijką Piotrkowskiej. Zatem – co tu kryć – liczyłem na burzliwą konfrontację poglądów, a i być może na fizyczne wyjaśnienia wzajemnych przewag. Jak w zamierzchłych analogowych czasach mawiał jeden z pierwszych fotoreporterów tygodnika „NIE": „czerwony najlepiej wychodzi na filmie Agfy". Jednak zderzenia nie było.

Nie obyło się bez prób niedopuszczenia do łódzkiej manifestacji Konfederacji. Przewodniczący Rady Miejskiej Bartosz Domaszewicz mówił w mediach: – Każdy, kto mieszka w Łodzi, kto tu legalnie pracuje, przebywa, ma prawo czuć się bezpiecznie. Nie zgadzamy się na taką formę zastraszania i będziemy wykorzystywali wszelkie dostępne prawne narzędzia…

Na co przewodniczący łódzkiej Konfederacji Tomasz Grabarczyk odpowiadał: – Mamy pełne prawo zorganizować to wydarzenie, oczywiście nienawiści żadnej nie będziemy szerzyć. Jeśli ktoś uważa, że mówienie o problemie masowej migracji jest szerzeniem nienawiści, no to to już jest jego problem.

Policja ze swej strony solennie obiecywała, że do żadnej konfrontacji nie dopuści.

Ale też chyba policjanci nie oceniali prawdopodobieństwa siłowego scenariusza zbyt wysoko, bo gdy przybyłem na miejsce, owszem, było parę radiowozów i grupa policjantów płci obojga, ale w codziennych mundurach. Tylko niektórzy mieli ze sobą długie pały i nakolanniki; reszta operowała wyłącznie głosem, dbając o to, by rozdzielająca obie manifestacje wąziutka ulica była przejezdna – pewnie też po to, by stanowiła psychologiczną granicę miedzy adwersarzami.

Czy ta zażywna jejmość przeciskająca się z plikiem kartek do podpisywania przez tłumek pod trybuną, utkana jest z nienawiści? Bynajmniej. Ona tylko chciała, by nic z tych zapowiedzi dobiegających z trybuny się nie zrealizowało. „Żeby nie mogli do nas przyjeżdżać"

Zdjęcia MACIEJ WIŚNIOWSKI

Konfederaci nie byli licznie reprezentowani. Na moje niewprawne oko na Skwerze Schillera swą niechęć do imigrantów pokazywało około 300–350 osób. Wśród nich nie brakowało archetypicznych mięśniaków z patriotycznymi dziarami, ale sporo było też zwykłych obywateli. Płci obojga, szerokiego przekroju wiekowego, wydaje się, że również statusu materialnego i wykształcenia. Połączyło ich… no właśnie, co?

Byłbym ostrożny we wnioskowaniu, że połączyła ich oto nienawiść do Innego, czysty rasizm, islamofobia czy wszystko to, czego używa się dzisiaj w informacyjnych bojach między środowiskami liberalno-lewicowymi a Konfederacją i jej prawackimi socjuszami.

– mówiła, a ludzie chętnie jej te kartki podpisywali, część z niekłamanym entuzjazmem. I nie to, że zbierała podpisy pod kwitem, by wszelkich obcych nie wpuszczać, nie. Ona tylko zachęcała do podpisu pod deklaracją następującą: „Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa dotyczącej bezpieczeństwa osobistego i ekonomicznego obywateli spowodowanej nielegalną migracją, zawierającemu następującą propozycję pytania w tej sprawie: Czy jesteś za odrzuceniem dla przymusowego przyjmowania nielegalnych imigrantów, które skutkuje ryzykiem spadku bezpieczeństwa osobistego i ekonomicznego?".

A z trybuny dobiegały rysowane słowami sytuacje dramatyczne: o Wenezuelczyku, który, zanim zgwałcił dziewczynę w Toruniu, wydłubał jej oczy śrubokrętem, o zadźganym chłopaku gdzieś tam… I w ogóle o tym, jakie zagrożenie nam wszystkim, spokojnym Polakom i obywatelom, niosą ci, co do których nie wiemy, jacy są, więc na wszelki wypadek się ich boimy. Podpisy sypały się zatem gęsto.

Jako się rzekło, na antyimigranckiej manifestacji jest cały przekrój społeczny. Gdyby nie brak wózków dziecięcych, powiedziałbym, że panowała atmosfera rodzinnego pikniku. Organizatorzy nie dali powodu do łatwego oskarżania ich o mowę nienawiści: na niesionych plakatach mowa o imigrantach, ale nielegalnych, a w pierwszych słowach przy otwieraniu zgromadzenia prowadzący zwrócił uwagę, że po drugiej stronie ulicy zebrali się ludzie, którzy na temat imigrantów i uchodźców mają zdanie zdecydowanie odmienne od tych na Skwerze Schillera. Podkreślił, światowiec, że w demokratycznym państwie każdy ma prawo do prezentowania swoich poglądów, i wezwał do spokojnego reagowania na oponentów i niepoddawania się prowokacjom. Ludzie wysłuchali tych wezwań w spokoju, choć nie wszyscy. Nie obyło się bez hymnu, solidarnie fałszowanego przez znakomitą większość zebranych. No i tradycyjne hasła: „Tu jest Polska, nie Bruksela", „Śmierć wrogom ojczyzny" (cokolwiek to znaczy dla imigrantów), „Chcemy żyć bezpiecznie", „Nie chcemy nielegalnych i socjalnych imigrantów".

Wystąpienia były zróżnicowane. Emocjonalne lub starające się przekonać siłą argumentów. Niepotrzebnie. Po tej stronie Piotrkowskiej stali już przekonani. Chcieli tylko, żeby ktoś ich zauważył i zauważył ich strach, na którym można ulepić wiele politycznych karier. I to właśnie prawica czyni.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Konfederacji i ich zwolenników, ustawiła się grupka kontrmanifestantów. Niewielka. Około 15 osób, nie licząc psa albo dwóch, które pętały się wokół plakatu „Faszyzm za burtę". Ci mężni ludzie starali się przede wszystkim zagłuszyć antyimigranckich oponentów. Krzyczeli, że faszyści w Łodzi nie przejdą. Potem zajęli się bliższym obiektem swej aktywności: policją. „Zdejmij mundur, przeproś matkę" – co jest hasłem dobrym, bo emocjonalnie dotkliwym dla policjantów. Problem jedynie w tym, że ma ono znakomite zastosowanie, np. kiedy policja bije kobiety protestujące w obronie swoich praw; natomiast ci akurat policjanci mieli za zadanie ochranianie postępowców przed pobiciem przez kogo innego, co skutecznie robili. Hasło było więc, jak by to powiedzieć, nieco nieprzystające. Później jeszcze zebrani ogłosili, że policja ochrania faszystów, choć tego dnia w tym miejscu było akurat odwrotnie. I jeszcze garść podobnych okrzyków, które pogłębiały w policjantach wątpliwość, na kiego grzyba mają powstrzymać chętnych i silnych fizycznie nacjonalistów z drugiej strony ulicy przed rozmazaniem lewaków na chodniku. A wystarczyłoby, by na chwilę odwrócili wzrok i problem sam by się rozwiązał.

Kolejna grupka proimigranckich i lewicowych działaczy (30–40 osób) stała bezpośrednio przy Urzędzie Miasta. Przemiła dziewczyna opowiadała przechodniom, czemu imigranci nie są i nie mogą być zagrożeniem dla Polaków. Mówiła długo, kompetentnie i nudno. Łódzka ulica przepływała obok niej leniwie, jak to w niedzielę, doskonale obojętna. Usiłowałem się dopytać, czemu dwie grupy stoją oddzielnie – do kupy mogłyby stworzyć nieduży, ale jednak tłumek – ale nie uzyskałem satysfakcjonującej odpowiedzi.

A do siłowej konfrontacji naprawdę niewiele brakowało, gdy część dobrze zbudowanych klientów łódzkich siłowni przyobleczonych w „odzież patriotyczną" przemieściła się w rejon bezpośredniej bliskości z proimigrancką grupką, by okazać swoje niezadowolenie z ich istnienia w przestrzeni miejskiej. Komunikaty były różne – od banalnego „wypierdalać" po poetyckie „Tu jest Polska nie Bruksela, tu się zboczeń nie popiera". Obietnica „Znajdzie się kij na lewacki ryj" sąsiadowała z tymi dotyczącymi drzew i zamienników liści, a wszystko okraszone było drwiącym pytaniem: „Lewacy, co was tak mało?" i diagnozą społeczną: „Kończy się lewacka Łódź". Tej ostatniej trudno odmówić pewnej dozy słuszności.

Z pozoru sytuacja była oczywista: po jednej stronie faszyści, których rzecznik rządu straszy prokuraturą; po drugiej – żałosne grupki lewicowców, których nie sposób brać poważnie. Ale to nie jest aż tak proste.

Lewaków i proimigranckich działaczy było rzeczywiście mało. Ale byli. Mogę mieć (i mam) milion uwag do ich sposobu wyrażania swoich poglądów, ale nie można im odmówić odwagi. Jeszcze niedawno ograniczali swą aktywność do sieci społecznościowych i na tym się kończyło. Teraz jednak wyszli, by wyrazić swój protest. To imponuje.

Po drugiej zaś stronie nie stali sami naziści, potencjalni budowniczowie obozów zagłady. Część z nich, owszem, z pewnością prezentowała poglądy antyludzkie, rasistowskie i faszystowskie. Ale myślę, że nie było ich wielu. Większość to ofiary własnego strachu tworzonego i pielęgnowanego przez prawicę i skrajną prawicę. Po to tylko, by szukać wśród nich budulca do własnej siły. Gdy już to osiągną, wezmą się i za przestraszonych.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 2cbfbc2498

Walcząca Polska Tuska

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W wojnie z ASF największe straty ponosi zdrowy rozsądek.

Zbudowaliśmy ich tysiące. Na dolinach rzecznych, pośród lasów i przez górskie grzbiety. Polska w ciągu ostatnich trzech dekad zainwestowała miliardy złotych w przejścia dla zwierząt nad i pod autostradami oraz drogami ekspresowymi. Jak podaje Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, od 1996 do 2022 r. powstało w sumie 5008 takich obiektów. W tym: 3472 małe przepusty dla płazów i drobnych ssaków, 1329 przejść dolnych dla większych zwierząt oraz 207 monumentalnych kładek, których konstrukcja przypomina niejednokrotnie imponujące mosty autostradowe.

Miało ratować

Średni koszt górnego przejścia dla zwierząt wynosi około 11,6 mln zł, a dolnego – od 8 do 10 mln. Łącznie na budowę przejść przeznaczono około 6,5 proc. całkowitych kosztów rozbudowy dróg szybkiego ruchu, co oznacza wydatek rzędu kilkunastu miliardów złotych. Warto podkreślić, że nie były to fanaberie ekologów, lecz warunki konieczne – bez budowy takich korytarzy Polska nie mogłaby liczyć na unijne dofinansowanie do rozwoju infrastruktury drogowej. Ani autostrady, ani ekspresówki nie mogłyby powstać bez tzw. decyzji środowiskowej, w której jednym z kluczowych elementów były właśnie przejścia umożliwiające migrację zwierząt.

Zgodnie z zapisami unijnych programów operacyjnych budowa szybkich dróg była ściśle powiązana z wymogiem minimalizacji wpływu inwestycji na środowisko. Przykładowo, projekt S7 Gdańsk–Warszawa nie uzyskałby kasy z Unii, gdyby nie wkomponowano w jego strukturę licznych przejść dla zwierząt. Na 24 km odcinka od Koszwał do Nowego Dworu Gdańskiego zaplanowano aż 31 przejść różnego typu, w tym trzy duże górne i kilka mostów z funkcją ekologiczną.

Wymogi te wynikają z tzw. dyrektywy siedliskowej UE i były wdrażane m.in. za pośrednictwem Regionalnych Dyrekcji Ochrony Środowiska. Komisja Europejska wielokrotnie przypominała, że projekty naruszające ciągłość korytarzy ekologicznych nie będą kwalifikowane do współfinansowania. W skrajnych przypadkach mogło to oznaczać konieczność zwrotu już przyznanych pieniędzy, jeżeli inwestycja nie spełniałaby warunków ochrony przyrody.

Przejścia dla zwierząt są narzędziem przeciwdziałania katastrofie ekologicznej. Badania prowadzone na przejściach dolnych i górnych wzdłuż drogi ekspresowej S8 pokazują, że korzystają z nich regularnie dziki, jelenie, łosie, wilki, a nawet rysie. W jednym z takich przejść na Podlasiu fotopułapki zarejestrowały ponad 500 przekroczeń w ciągu miesiąca.

Co więcej, przejścia mają też wymiar czysto praktyczny – zmniejszają ryzyko kolizji. Te bowiem w przypadku zderzenia auta z dużym zwierzęciem bywają nie tylko tragiczne w skutkach, ale też horrendalnie kosztowne.

W Niemczech czy Holandii koszt społeczny jednej kolizji z udziałem dzikiej zwierzyny szacuje się na ponad 100 tys. euro – łącznie z kosztami leczenia, odszkodowań i strat w mieniu. W Polsce podobne dane nie są zbierane, ale eksperci Instytutu Transportu Samochodowego sugerują, że roczny koszt kolizji ze zwierzętami przekracza 200 mln zł. Wszystko to pokazuje, że przejścia nie są luksusem – są niezbędnym elementem każdej nowoczesnej drogi.

Nisko przelatujący łoś

A statystyki są bezlitosne. Liczba wypadków z udziałem dzikich zwierząt rośnie. Z danych GDDKiA oraz lokalnych struktur wynika, że w samym województwie wielkopolskim liczba kolizji z udziałem zwierząt na drogach wzrosła niemal sześciokrotnie w ciągu ośmiu lat – z 897 w roku 2016 do 5074 w roku 2024. To nie jest przypadek. To konsekwencja polityki grodzenia. Bo państwo, które wzięło kasę z Brukseli na przejścia dla zwierząt, teraz te przejścia decyzją wojewody wielkopolskiego zablokowało.

Problemem są nie tylko zderzenia z małymi zwierzętami, które kończą się uszkodzeniem auta. Tragicznie wyglądają wypadki z udziałem większych ssaków. W styczniu 2025 r. na drodze S17 w Rykach łoś wtargnął na jezdnię, powodując zderzenie dwóch samochodów – poszkodowana 18-letnia pasażerka trafiła do szpitala. W marcu tego samego roku w okolicach Radzymina na trasie S8 potrącony został wilk – niestety, nie przeżył. Również w marcu służby musiały tymczasowo zamknąć aż trzy ważne trasy: A2, S8 i S2 – wszystko przez łosia biegającego w rejonie węzła Pruszków. Na szczęście tym razem nikt nie zginął. Ale rok wcześniej na A1 w pobliżu Torunia podobne zderzenie z łosiem zakończyło się śmiercią kierowcy.

To tylko kilka przypadków z ostatnich miesięcy. W lipcu 2024 r. na S8 w rejonie miejscowości Brzezie samochód dachował po zderzeniu z wilkiem. Jak informowali policjanci, zwierzę wbiegło na jezdnię nagle i bez ostrzeżenia. Kierowca przeżył, ale samochód został kompletnie zniszczony, a wilk zginął na miejscu.

Eksperci od lat apelują, że wprowadzenie barier w naturalnych korytarzach migracyjnych skutkuje dramatycznym wzrostem liczby wypadków. Zamknięcie przejść sprawia, że zwierzęta szukają innych miejsc – często ryzykownych – do przekroczenia drogi. To prowadzi do wzrostu liczby wypadków, także śmiertelnych. Polska Rada Ochrony Przyrody podkreśla z kolei, że wiele zwierząt, które wcześniej korzystały z bezpiecznych przejść, dziś próbuje przedzierać się przez ogrodzenia lub płoty, a to prowadzi do chaosu i śmierci – zarówno zwierząt, jak i ludzi.

Jakby tego było mało, w niektórych przypadkach ogrodzenia ekspresówek i autostrad niszczone są przez lokalną ludność – czy to z powodu chęci skrócenia sobie drogi, czy z innych względów. Zrobione przez ludzi dziury w ogrodzeniu są następnie wykorzystywane przez dziką zwierzynę, która mając zamknięte przejścia przeznaczone dla niej, przeciska się przez niekontrolowane otwory – tam, gdzie żadne służby nie są w stanie zareagować na czas.

Afrykańskie alibi

Oficjalnie w barykadowaniu przejść dla zwierząt chodzi o ograniczenie przemieszczania się dzików, które roznoszą wirusa afrykańskiego pomoru świń (ASF).

Tymczasem według fachowców najbardziej skuteczna na zarazę jest bioasekuracja, czyli zabezpieczenie miejsc, gdzie przebywają zwierzęta hodowlane, przed rozprzestrzenianiem się wirusa poprzez zastosowanie odpowiednich procedur, praktyk i zapor. Zamykając przejścia dla zwierząt, nie ograniczamy migracji dzików, ale za to zwiększamy ryzyko wypadków na drogach i fragmentujemy siedliska przyrodnicze.

Analiza rozporządzeń wojewodów o grodzeniu przejść pokazuje, że decyzje te podejmowane są od czapy. W przypadku województwa wielkopolskiego cztery organizacje pozarządowe alarmowały, że ani materiały, z których wykonano ogrodzenia, ani techniki montażu nie gwarantują skuteczności barier. Nie wiadomo też, kto odpowiada za ich utrzymanie, a luki w systemie wykorzystują zarówno zwierzęta, jak i ludzie.

Największym absurdem pozostaje jednak fakt, że ASF szerzy się również na terenach po obu stronach zagrodzonych tras.

Przykład drogi S5 w Wielkopolsce jest tu symboliczny – choroba jest obecna na całym obszarze, a grodzenia w niczym nie poprawiają sytuacji. Zamiast powstrzymywać rozprzestrzenianie się wirusa, stwarzają kolejne zagrożenia

– dla kierowców, dla zwierząt i dla wiarygodności Polski jako kraju korzystającego z funduszy unijnych.

W imię pozornej ochrony interesów hodowców trzody chlewnej ryzykujemy życiem ludzi, marnujemy miliardy złotych publicznych pieniędzy i narażamy się na miliardowe sankcje ze strony Brukseli. A wszystko przez idiotyczne decyzje państwa, które zamiast zmusić hodowców do przestrzegania reżimu higienicznego, woli udawać, że prowadzi wojnę z zarazą. Tyle że śmiertelnymi ofiarami tej udawanej wojny są niemający o niej pojęcia kierowcy.

TOMASZ BOROWIECKI

GADMAN

Rząd

Ten rząd powstawał w atmosferze wielkiej euforii po wspaniałym zwycięstwie nad ohydnym kaczyzmem. I nadziei, że stworzy on Polskę demokratyczną i sprawiedliwą społecznie. Ten rząd miał ocalić nadzieje na dalszą demokrację, aktywny udział państwa polskiego w Unii Europejskiej, suwerenność zagrożoną przez putinowską Rosję. Oczekiwano też jego szybkich, spektakularnych sukcesów. Fajerwerków działań słusznych i sprawnych.

A rząd, jak wiele innych, szybko wpadł w koleiny rządzenia. W spowalniające jego działania procedury. Konieczności konsultacji społecznych, formalne wymogi praworządnej legislacji. Nie mógł ich lekceważyć, omijać, bo za to przecież jego liderzy niedawno krytykowali prezesa Kaczyńskiego i jego drużynę.

Czwórka w zaprzęgu

Rząd premiera Tuska stworzyły cztery ugrupowania polityczne. Każde z nich posiada swe programowe frakcje i towarzyskie grupy interesów.

Dominującą wśród nich jest socjalliberalna gospodarczo i obyczajowo Koalicja Obywatelska. Z prawej strony wspierała ją Trzecia Droga złożona z konserwatywnego obyczajowo i socjalliberalnego gospodarczo PSL oraz liberalnej gospodarczo i obyczajowo Polski 2050. Z lewej – wspierały ją liberalne obyczajowo i socjalistyczne gospodarczo Nowa Lewica i Partia Razem.

Personalnie rząd Tuska zbudowano na zasadzie „warzyła myszka kaszkę, warzyła, temu dała na miseczkę, temu dała na łyżeczkę, a temu dała w buteleczkę". Dlatego każdy z koalicjantów dostał wyznaczoną mu pulę wicemarszałków sejmu i senatu, wicepremierów, ministrów, wiceministrów, wojewodów, wicewojewodów, dyrektorów i innych ważniaków. A przystojny i elokwentny Szymon Hołownia – laskę marszałka Sejmu RP.

Potem każde z ugrupowań delegowało do rządu swoich kandydatów. Na zasadzie „to jest nasz ekspert i wara wam od kwestionowania jego kompetencji".

Wszystkie z koalicyjnych partii nie uczestniczyły w sprawowaniu rządów w ciągu ostatnich lat. Niektóre, jak Nowa Lewica, nie sprawowały rządów od 20 lat albo – jak Polska 2050 i Partia Razem – nigdy rządów nie sprawowały. Ta ostatnia do rządu nigdy nie weszła, wspierała go jedynie w parlamencie.

Pewnie dlatego do rządu i administracji państwowej często trafiali ludzie bez resortowych doświadczeń. Niektórzy debiutowali od razu na ministerialnych stanowiskach. Na zasadzie: „nie matura, lecz chęć szczera" albo „mój mąż z zawodu jest ministrem". I rzecz jasna, nie wszyscy debiutanci się sprawdzili.

Rząd pracował powoli. Czasem na politycznym hamulcu, nawet wstecznym biegu, zaciąganym przez koalicjantów. Nic dziwnego, że rychło zaczął tracić poparcie. Zwolennicy rządu przez miesiące nie przyjmowali tego do wiadomości. Uważali, że rząd Tuska jest jak milcząca kura. Znosi jaja, ale jedynie nie gdacze o tym.

Aby przywrócić należne rządowi poparcie, zapowiedziano przełom, czyli zatrudnienie rzecznika prasowego.

ETYKA BEZBOŻNA

Mokry sen antyklerykała-patrioty

Do dziś nie wiem, czy mokre sny to takie, w których śniący o bara-bara młodzieniec zanieczyszcza (polucje) garderobę intymną, czy też może tylko się poci z wrażenia. W każdym razie ma to być sen przyjemny. Pozostając w semantycznej niepewności, ogłaszam, że na jawie przeżyłem mokry sen notorycznego antyklerykała i bojownika o suwerenność Polski względem stolca Piotrowego, gdy na stronach polskiego rządu przeczytałem te oto niesłychane słowa: „Ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej wręczył w dniu 15 lipca br. Javierowi Domingo Fernándezowi Gonzálezowi, Szefowi Protokołu Dyplomatycznego Stolicy Apostolskiej, demarche, w którym strona polska wyraża oburzenie niedawnymi niedopuszczalnymi wypowiedziami biskupów Długosza oraz Meringa". To jest coś nie-sa-mo-wi-te-go! I absolutnie nie do pomyślenia ani pięć lat temu, ani 25, ani 50, ani w ogóle nigdy w tysiącletniej historii zmagania się Polski z rzymskim hegemonem i ciemiężycielem. I kto to wstaje z kolanek? No, nie do wiary! Były pupil Jarosława Kaczyńskiego, konserwatysta z kontaktami w Opus Dei Radosław Sikorski!

Chociaż poszło o drobiazg. Oto Wiesiek Mering, zaprzedany pisior lubiący niegdyś pogawędki przy kawie ze Służbą Bezpieczeństwa (kto ich nie lubił!), od dawna robi za biskupa, w związku z czym regularnie przebiera się w swoje złote a skromne fatałaszki i nak…ia na wszystko, co leży poza opłotkami Tadzia Rydzyka. Dlaczego Sikorskiego nagle tak bardzo poruszyły słowa: „Rządzą nami ludzie, którzy określają się jako Niemcy" oraz „Jak świat jest światem – mówił w XVII wieku jeden z polskich poetów Wacław Potocki – bo świat jest światem, Niemiec nie będzie bratem Polaka"? Przecież takich wypowiedzi były już dziesiątki, a padały z ust wielu biskupów. Co się stało? Ano stało się to, że czara goryczy się przelała, a i biskup w 2025 r. mniejszy budzi w Warszawie postrach niż kiedyś. Niby proste, ale jakże niezwykłe!

Donos na Wieśka, pełen wywodów o miłości bliźniego, konkordacie i innych rzeczach, na których bezbożni etycy się nie znają, zmierza do „wniosku o ukaranie", który brzmi następująco: „Uprzejmie sugerujemy wyciągnięcie stosownych konsekwencji wobec biskupa Wiesława Meringa oraz biskupa Antoniego Długosza, aby podobnie niefortunne, kłamliwe i nieuzasadnione wypowiedzi nie pojawiały się w przyszłości w dyskursie publicznym, szargając dobre imię Kościoła katolickiego, instytucji tak istotnej i nierozerwalnie związanej z dziejami Państwa Polskiego od jego powstania po dzień dzisiejszy".

Gdyby nie kontekst, czyli uparte i powtarzalne łżenie przez biskupów rządu RP zawsze, gdy u władzy nie znajdują się akurat partie całkowicie przyssane do czubka papieskiego trzewika, lecz zaledwie bezczelnie klęczące przed Majestatem, pismo polskiego MSZ byłoby wręcz śmieszne. Jednakże jego prawdziwy sens nie polega na słusznej, aczkolwiek przesadnej reakcji na kolejny chamski wyrzyg słowny jakiegoś przebierańca z watykańskim immunitetem, ale na złamaniu tabu zakazującego funkcjonariuszom państwa polskiego przejawiania jakiejkolwiek podmiotowości wobec Kościoła niezależnie od tego, jak bardzo ten szargałby wartości polskiego porządku konstytucyjnego,

eprasa.pl 2cbfbc2498

Mamy w Polsce demokrację parlamentarną i feudalne rządy liderów w partiach politycznych

ocalenia rządu

wego. Do gdakania powołano miłego i pracowitego Adama Szłapkę. Ale podległego aktywnemu w mediach internetowych premierowi i charakterologicznie mu uległego. W efekcie premier nadal pierwszy coś ogłasza, często od Sasa do lasa, a potem rzecznik Szłapka uzupełnia i uściśla komunikaty premiera.

Nowy jak stary

Drugi miesiąc już mija, a rząd Tuska nadal obiecuje objawić swój zrekonstruowany rząd. Odchudzony i zrewitalizowany.

Zaraz potem nowy rząd pod przewodem starego premiera Tuska ma zabrać się do pracy. By zrealizować nierealizowane od prawie dwóch lat obietnice wyborcze. I poprawić swą popularność wśród wyborców.

Jednak wszelkie znaki na sondażowym niebie wskazują, że rekonstrukcja rządu nie poprawi przedwyborczych notowań koalicji rządzącej. Jedynie 27,6 proc. ankietowanych w sondażu przeprowadzonym na zlecenie portalu Onet uważa, że rząd stanie się lepszy. Przeważają pesymiści. Grupa 42,6 proc. uważa, że zmiany w rządzie nie przyniosą poprawy jego działania. Nie oczekują jej i coraz mniej się nią interesują. Bo odnoszą wrażenie, że ta koalicja rządząca sprawnie zjednoczyła się jedynie jako antypisowska alternatywa. Tak udało się jej odsunąć kaczystów od władzy. Ale potem to spoiwo wyczerpało się. Dodatkowo obserwatorzy życia politycznego od tygodni karmieni są jedynie informacyjnymi przeciekami o przyszłym składzie rządu. O grymasach marszałka Hołowni i jego nocnych schadzkach w apartamencie czołowego politycznego knuja pana eurodeputowanego Adama Bielana. Nie słyszą informacji o zadaniach przyszłego rządu. Poza obietnicami kompleksowego rozliczenia afer PiS i ukarania ich sprawców.

W te rozliczenia coraz trudniej wyborcom uwierzyć. Zwłaszcza że nowy, związany z PiS-em, prezydent Karol Nawrocki może skazanych liderów Zjednoczonej Prawicy szybko ułaskawić. Skoro prezydent Duda nie cofnął się przed ułaskawieniem bojowego Bąkiewicza.

Nowy, nadal koalicyjny, rząd nie powinien realizować jedynie programów wyborczych swych koalicjantów. Bo wielu z nich, zwłaszcza obyczajowych, nie uda się tej liberalno-konserwatywnej koalicji zrealizować. A jeśli nawet, to prezydent Nawrocki skutecznie je zawetuje.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ten rząd powinien stworzyć wspólną, alternatywną wobec programów brunatniejących Zjednoczonej Prawicy i Konfederacji, wizję demokratycznej i proeuropejskiej Polski. Program aktualnego, antyfaszystowskiego Centrolewu.

Program polityczny zgodny z podstawowymi wartościami tych partii. Program ratunkowy dla państwa polskiego. I koalicyjnych partii też. Bo nadchodzą kiepskie dni dla nich. Mariaż polityczny PSL i Polski 2050 się rozpadł. Nową Lewicę czekają wybory nowego kierownictwa. Partia zrezygnowała z modelu Andory, czyli rządów podwójnych przewodniczących i ich podwójnych zastępców. To może poprawić jej skuteczność. Partia Razem przeszła do opozycji parlamentarnej. Krytykuje rząd z lewej flanki.

Tusk do rekonstrukcji

Coraz częściej wśród koalicyjnych parlamentarzystów i komentatorów politycznych pojawia się postulat wymiany premiera. Bo Donald Tusk staje się symbolem politycznego dziaderstwa, zwłaszcza wśród wyborców młodszych wiekiem. I jeśli notowania nowego rządu i starej koalicji nadal będą spadać, to postulat kolejnej rekonstrukcji koalicyjnego rządu, tym razem także i jego premiera, będzie powracać.

Na razie politycy Koalicji Obywatelskiej uważają, że nie ma obecnie odpowiedniej kandydatury, by zastąpić ich lidera. Starsi politycy przestrzegają przed zmianą jedynie dla samej zmiany. Przypominają przypadek posłanki Ewy Kopacz, która została premierem, bo Tusk dostał pracę w Brukseli. I potem jego formacja straciła władzę.

Poza tym nadal pozostaje problem przywództwa Tuska w jego partii. Bo lider koalicji Tusk może znaleźć nowego premiera. Nawet z innej partii niż KO. Ale wtedy powstaje problem rządów z tylnego siedzenia. Notorycznie uprawianego przez prezesa Kaczyńskiego. Rządów patologicznych, krytykowanych przez liderów obecnej koalicji. Podobnie za czasów AWS krytykowano innego szeregowego posła Mariana Krzaklewskiego za kierowanie formalnym premierem Jerzym Buzkiem.

Mamy w Polsce system demokracji parlamentarnej, który dobrze działa, jeśli partie polityczne są silne swą wewnętrzną demokracją. Niestety, u nas demokracja parlamentarna opiera się na partiach politycznych zarządzanych feudalnie przez ich liderów.

Od sierpnia koalicja rządząca będzie się zmagać nie tylko z coraz bardziej popularną parlamentarną opozycją. Będzie miała bojowego prezydenta, który zamierza aktywnie wspierać działania prawicowej opozycji.

Jeśli koalicja dalej zajmować się będzie problemami swoich koalicjantów i dbać jedynie o to, aby jej rząd dotrwał do wyborów parlamentarnych w 2027 r., to zapewne jej się to uda. Tylko potem wybory tak przegra, że brunatniejąca prawica uzyska konstytucyjną większość. I pozostanie na długo.

PIOTR GADZINOWSKI

Polska wstaje z kolan

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

opluwał Polskę i obrażał moralność publiczną. A Sikorski to zrobił!

Zrobił to w czasach, gdy nawet naziole specjalnie nie oglądają się już na biskupów, bo wiedzą, że ich poparcie nie daje już wiele w wyborach, a po wyborach kosztuje totalną zależność, konieczność uczestniczenia w jakichś mega obciachowych imprezkach i masę (publicznej wprawdzie) kasy. Było mu więc łatwiej. Może właśnie dlatego jego gest nie zrobił wielkiego wrażenia na opinii publicznej, choć jeszcze dekadę temu byłby szokujący. Dobrze, że chociaż biskupów zatkało. Pewnie teraz będą się miarkować. Zwłaszcza gdy za skargami do Watykanu pójdą jakieś małe „przycinanki" finansowe. Tu za karę milionik przytną, a ówdzie nie rozliczą. Jeśli przyjemność wyrzygiwania się na Niemców i LGBT będzie kosztować miliony, to i będzie się przyjemności szukać gdzie indziej. Chłopaki z Dąbrowy Górniczej mogą coś polecić.

A jednak to jest jakiś chichot historii, że ten zaszczyt, aby stanąć w imieniu ojczyzny przed wielowiekowym pasożytem i ciemiężcą – nie mówiąc już o ogłupianiu i demoralizacji, jakiej ów poddaje pokolenie za pokoleniem mieszkańców naszego kraju – spotyka akurat kogoś niemalże z ich świata się wywodzącego, a w każdym razie na pewno nie jednego z „naszych". Tyle się narobiliśmy, a śmietankę zbiera Radzio. Ech.

W tym dniu przełomu warto wspomnieć, komu go zawdzięczamy. A zawdzięczamy tysiącom ludzi, którzy przez wiele lat – wcale nie tylko po 1989 r., lecz również wcześniej – wbrew panującym nastrojom walczyli z klerykalizmem i przywilejami Kościoła katolickiego. Część z tych osób była i jest zrzeszona w nielicznych antyklerykalnych organizacjach, inni działali i nadal działają indywidualnie. Nieliczni byli lub nawet są do dziś postaciami publicznymi. Można tu wymienić choćby Joannę Senyszyn, Danutę Waniek czy Janusza Palikota.

Ale najbardziej znanym i zasłużonym pośród tych wszystkich, którzy latami przygotowywali grunt pod ten bezprecedensowy akt polskiej suwerenności i godności, był rzecz jasna Jurek Urban.

I to jemu należą się – oprócz samego Radka Sikorskiego – gratulacje i podziękowania za ten nasz mały „cud lipcowy". No i nie zapominajmy o Wiesiu! Ekscelencjo, Księże Biskupie! Bez Twojej błogosławionej głupoty i chamstwa nasza umiłowana ojczyzna nie miałaby tak cudownej okazji, by tupnąć nogą przed zgrają zelżywych hien, które tak godnie i dostojnie reprezentujesz! Bóg Ci zapłać!

Przy okazji, *pro domo sua*, mały przykład tego, jak wyglądała praca u podstaw, czyli codzienna mozolna walka z klerykalizmem w czasach, gdy odwaga była droga, a opinia „Żyda-komucha" mogła zrujnować życie. Oto wyimek z listu, jaki mój ojciec Stanisław Hartman – profesor i opozycjonista – napisał w roku 1957 do Zakładowej Organizacji Związkowej przy Uniwersytecie Wrocławskim: „Na zabawie gwiazdkowej dla dzieci urządzonej przez ZOZ »święty Mikołaj« w rozmowie z dziećmi tenże (…) zadał kilka razy pytanie »Czy mówisz paciorek?«, »Czy umiesz się przeżegnać?«. Obchody gwiazdki i świętego Mikołaja, choć związane z kultem, mają charakter zabawy i są urządzane w Polsce powszechnie dla dzieci różnych wyznań i dla wychowywanych w laicyzmie. Zatem należało oczekiwać, że obchód organizowany przez ZOZ (…) będzie zupełnie pozbawiony treści religijnej. Uważam za pożałowania godne, że stało się inaczej. (…) W myśl zasad tolerancji momenty religijne nie mogą być wprowadzane w organizacjach wychowawczych ani w imprezach przeznaczonych dla wszystkich dzieci zarówno, tylko w tych, które mają służyć dzieciom określonego wyznania, lecz do takich imprez Związek Zawodowy nie jest powołany".

JAN HARTMAN

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Przekaz dnia to powszechny w polskich partiach politycznych instrument propagandowy. To, co wymyśli partyjny spin doctor, mniej komunikatywni politycy powtarzają jak papugi siedzące na katarynkach.

Najsprawniejsi w klepaniu przekazów dnia są pisowcy. Do tego dochodzi wazeliniarstwo wobec Kaczyńskiego. Jeśli prezes powie, że Niemcy są złe, a Niemcy źli, najgorliwsi pisowcy prześcigają się w podawaniu przykładów z przeszłości dalszej (Krzyżacy) i bliższej (hitlerowcy), wieszając na Niemcach wszystkie psy z okolicy.

Taka typowa pisowska gorliwość wystąpiła przy okazji Bąkiewicza i jego klaunady na zachodniej granicy. Najbardziej powściągliwi członkowie partii mówili o nim publicznie, że jest OK. Mniej powściągliwi, że jest dobrym organizatorem. Jeszcze mniej powściągliwi, że jest patriotą i najlepszym Polakiem.

Na skraju nadgorliwości w przekazie o Bąkiewiczu znalazł się poseł Waldemar Buda. W programie „Wybory w TOK-u" do przedstawiciela Konfederacji powiedział: „Wam się nie podoba, że Bąkiewicz dzisiaj prężnie działa i robi dobrą robotę, i nie mówi, że jest przedstawicielem Konfederacji".

Na zarzuty, że Bąkiewicz jest raczej kanalią niż świętoszkiem, bo np. wziął fikcyjny rozwód po to, żeby nie spłacać zobowiązań finansowych, Buda odparł: „Ja to mam gdzieś, czy jest rozwiedziony, z kim mieszka i tak dalej. Dzięki jego działalności doszło do wprowadzenia kontroli na granicach. Honory dla Bąkiewicza za to, co zrobił! Państwo zareagowało dzięki niemu na przepływ nielegalnych migrantów. Wspaniała robota!".

W pisowskim systemie stratyfikacji społecznej wazeliniarstwo Budy wysoko go wyniosło. Wazelina ma jednak to do siebie, że można się na niej poślizgnąć.

eprasa.pl 2cbfbc2498

Macice Bodnara

Prokuratura pracuje nad problemem aborcji. Dosłownie od dupy strony.

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rozmowy o prawach kobiet w okresie międzywyborczym są w Polsce jak debata na plaży w Juracie o oblodzonych chodnikach. Krótko mówiąc, temat można zdefiniować jako zbędne zawracanie pipy. Tymczasem krajowe prokuratury trzymają rękę na pulsie, by nie powiedzieć organach rozrodczych, a nie jest to dobra wiadomość.

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego delegalizujący eugeniczną przesłankę do aborcji, przy udziale Zbigniewa Ziobry jako ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, sprawił, że w kraju nad Wisłą zapanowała atmosfera czasów hiszpańskiej inkwizycji. Co było dalej, wszyscy pamiętamy: wielkie protesty i szumne zapowiedzi zmian po usunięciu Zjednoczonej Prawicy z państwowego stołka. Prawicowo-kościelny zamordyzm spowodował daleką od łaski miłosierdzia śmierć siedmiu kobiet i noszonych przez nie płodów. Przyczynił się także do spadku rozrodu polactwa. Kiedy miejsce Ziobry zajął Adam Bodnar, a minister zdrowia Izabela Leszczyna i premier Donald Tusk w świetle kamer otworzyli legalną z punktu widzenia prawa furtkę do wydłubywania uszkodzonych bądź niechcianych zarodków na mocy glejtu od psychiatry, zdawało się, że uprzedmiotowienie polskich samic bodaj w stopniu minimalnym (i na dobry początek) zneutralizowano. Niestety, drogie siostry i mili bracia, nic bardziej mylnego.

Płodozmian

26 maja Prokuratura Rejonowa w Oleśnicy wszczęła śledztwo w sprawie przerwania ciąży w tamtejszym państwowym szpitalu „za zgodą kobiety z naruszeniem przepisów ustawy (art. 152 § 1 k.k.) oraz udzielenia pomocy w tej aborcji (art. 152 § 2 k.k.)".

O oleśnickim szpitalu zrobiło się głośno kilka miesięcy temu, kiedy dbająca o jakość tylko nienarodzonego życia Kaja Godek i patologiczny performer europoseł Grzegorz Braun odstawiali szopki w placówce po zakończeniu przez dr Gizelę Jagielską poważnie uszkodzonej genetycznie ciąży w trzecim trymestrze. Prokuratorskie postępowanie z maja bieżącego roku wzięło pod lupę inny przypadek.

W kwietniu 2023 r. na oddział ginekologiczny kliniki w Oleśnicy trafiła pacjentka w 17. tygodniu ciąży obarczonej zespołem Edwardsa. W wyniku przegranej w genetycznej ruletce kontynuacja stanu błogosławionego groziła kobiecie wielowodziem, odklejeniem łożyska i finalnie cesarką bliższą wypatroszeniu, bo cięcie musiałoby uwzględnić potrzebę wyjęcia z macicy oddzielnie pływających organów płodu. Na dokładkę w przyszłości cały proces mógł skutkować problemami z ponownym zapłodnieniem. Po mało optymistycznej diagnozie i w świetle pisowskich przepisów niedoszła matka zgłosiła się po pomoc w pilnym zakończeniu rodzicielskiej katorgi do Fundacji na Rzecz Kobiet i Planowania Rodziny Federa. Wolontariuszki skierowały ciężarną na konsultację do psychiatry, ten wystawił zaświadczenie, że ciąża stwarza zagrożenie zdrowia psychicznego nosicielki płodu. Wyposażona w dokument kobieta zgłosiła się do Pabianickiego Centrum Medycznego celem wykonania legalnej aborcji, gdzie spuszczono ją po brzytwie. Koniec końców pomógł szpital w Oleśnicy.

Co istotne, nawet w czasach pisiej jurysdykcji zagrożenie zdrowia i życia kobiety uprawniało do legalnego zabiegu terminacji ciąży, choć liczne przykłady pokazały, że personel placówek medycznych wolał przez zaniechanie uśmiercać lub odsyłać pacjentki niż narazić się prokuratorom od Ziobry. Po zmianie ekipy rządzącej i kontroli rzecznika praw pacjenta potwierdzono nawet, że szpital w Pabianicach, odmawiając aborcji, nie spełnił warunków dla realizacji świadczeń gwarantowanych przez NFZ i przyklepano mu karę w wysokości 550 tys. zł.

Teraz najlepsze. Mimo powyższych przesłanek kierowana przez Adama Bodnara prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie aborcji sprzed przeszło dwóch lat, co gorsza na wniosek samej Kai Godek. Pabianicki szpital zaś pokazał minister Leszczynie i Donaldowi Tuskowi środkowy palec. Dyrekcja lecznicy odwołała się od decyzji o karze, a Narodowy Fundusz Zdrowia pokornie obniżył jej wysokość do 250 tys. zł. We wrześniu 2024 r. kwota została potrącona z bieżących płatności szpitala za udzielone świadczenia zdrowotne, ale PCM złożyło przeciwko NFZ pozew o zwrot tej kwoty. Postępowanie sądowe jest w toku. Można powiedzieć, że karton, z którego zrobione jest państwo, ostatecznie przemókł.

Wgląd w głąb

Gdyby komuś było mało okołowaginalnych fajerwerków, swoje trzy szczapki do krematoryjnego pieca poszanowania ludzkiej godności kobiet dorzuciła Prokuratura Okręgowa w Zielonej Górze.

W styczniu 2023 r. miała miejsce głośna na całą Polskę akcja nalotu uzbrojonych agentów CBA na gabinet ginekologiczny dr Marii Kubisy w Szczecinie. Sprawa stała się jednym z flagowych symboli represji Zjednoczonej Prawicy wobec obywatelek.

Wizyta smutnych panów miała miejsce w związku z podejrzeniem o pomoc w usuwaniu niechcianych lokatorów z macic, co jest w Polsce karalne i zagrożone pobytem w pierdlu do lat trzech. Funkcjonariusze byli bardzo gorliwi w poszukiwaniu dowodów. Na polecenie szczecińskiej Prokuratury Regionalnej zabrali dokumentację medyczną wszystkich pacjentek dr Kubisy z blisko 30 lat (!). Prokurator zwrócił karty pacjentek dopiero po dwóch miesiącach. Działania prokuratury potępiła Okręgowa Izba Lekarska w Szczecinie, która podkreśliła, że śledczy powinni zrobić kopie potrzebnych danych, a oryginalne dokumenty zwrócić jak najszybciej. Dodatkowo w późniejszej ocenie sądu do prowadzonego śledztwa wystarczyło wypożyczyć tylko część dokumentacji zamiast zwijać całość.

Przeciwko zamordyzmowi CBA na ulicach Szczecina zaprotestowały same pacjentki. Zarekwirowanie historii medycznych było nie tylko naruszeniem tajemnicy lekarskiej i intymności, ale wielu z nich utrudniło leczenie. W kwietniu ubiegłego roku, kiedy zdawało się, że wiatr politycznych zmian wieje już tylko w obywatelskie plecy, 76 pokrzywdzonych przez organy ścigania kobiet złożyło zawiadomienie do Prokuratury Krajowej o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez prokuratorów Prokuratury Regionalnej w Szczecinie oraz agentów Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Wśród zarzutów pojawiło się przekroczenie uprawnień przez funkcjonariuszy publicznych, narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia (jedna z kobiet leczyła się onkologicznie, innej przepadł termin operacji); wreszcie obawa o upublicznienie i wykorzystanie danych osobowych dotyczących zdrowia i seksualności.

Prokuratorskie wiatry

Postępowaniem szczecińskich śledczych na polecenie Prokuratury Krajowej zajęła się Prokuratura Okręgowa w Zielonej Górze. 16 czerwca 2025 r. prokurator Marta Wiatr wydała decyzję o umorzeniu dochodzenia. W uzasadnieniu gilotynującym zarzuty pacjentek prokurator Wiatr napisała, że „dokumentacja była przechowywana w szafie zamykanej na klucz, w pokoju prokuratora nadzorującego śledztwo – bez możliwości dostępu osób postronnych" oraz, że dokumentacja zapakowana w „bezpieczne koperty" trafiła do Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, gdzie fotokopie papierów zrobiło dwóch policjantów. Według zapewnień – bez czytania akt. Na otarcie łez upokorzonym i wkurwionym kobietom w decyzji o umorzeniu napisano, że zebrany materiał dowodowy z przeszukania gabinetu pozwolił na postawienie dr Kubisie zarzutu pomocnictwa w usuwaniu ciąży przy użyciu środka farmakologicznego. Ba, lekarka miała ponoć nawet ten środek poronny sprzedawać.

Pacjentki zdecydowały, że odwołają się od decyzji prokuratury w Zielonej Górze. Sprawa jest w toku.

Koalicja Obywatelska, która obiecywała liberalizację prawa aborcyjnego, póki co pokracznymi decyzjami z oślim uporem prze do wywołania efektu mrożącego, a w praktyce całkowitego zakazu wykonywania tej usługi medycznej.

Niesamowita to ironia losu, kiedy po latach budowania politycznego kapitału na nowej jakości poszanowania praw obywatelskich trzeba się zastanawiać, czy wróciło stare, czy też zwyczajnie nie nadeszło nowe.

IDALIA DUBICKA

PLURALIS MAIESTATIS

Dobra nowina

…ale nie popadajmy w euforię

Na platformie gov.pl 10 lipca 2025 r. pojawił się artykuł o misiach z Cisnej. Prezentuję Państwu dwa kawałki z niego: „Tylko w tym roku w Cisnej było aż 65 sytuacji, w których niedźwiedzie weszły do miasta. To nie statystyka, to codzienny strach ludzi, średnio co trzy dni. Dlatego państwo daje lokalnym władzom narzędzie ostatniej szansy: możliwość działania, gdy inne metody zawiodą, a życie człowieka jest zagrożone. To gmina podejmie decyzję. To odpowiedzialna reakcja na realne zagrożenie. Sprawa dotyczy tylko trzech najbardziej problematycznych osobników i obowiązuje wyłącznie na terenie gminy Cisna. Równolegle trwają prace nad zmianą przepisów, które pozwolą skuteczniej odstraszać zwierzęta, bez konieczności ich eliminacji".

I drugi fragment: „Decyzja GDOŚ [Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska – red.] nie daje zgody na bezwarunkowy odstrzał – daje lokalnym władzom możliwość działania, gdy inne środki zawiodą, a życie człowieka jest zagrożone. To nie jest przyzwolenie na polowanie. To narzędzie ostatniej szansy – trudne, ale konieczne".

Jak Państwo myślą, rzecznik rządu „Rudego" to pisał? Bo to bardzo w jego stylu. Aj waj, a to się narobiło: niedźwiedzie, imigranci, cholera w Stargardzie! Normalnie plagi egipskie! Portal twoje-miasto.pl donosi, że 17 lipca wiceminister klimatu i środowiska Mikołaj Dorożała poinformował, że miśków jednak nie odjebią. Martwy miś PR-owo byłby mocno chujowym misiem dla trupiego rządu. A już trzy martwe misie…

– Dla nas największym wyzwaniem jest dzisiaj połączenie ochrony miśków i też jakiegoś bezpieczeństwa, ochrony człowieka, stąd właśnie ta propozycja zmian systemowych (…) mamy zabezpieczone finansowanie, powołamy specjalny zespół, to wszystko ruszy od wiosny 2026. Będzie 11-osobowa grupa, która będzie odstraszała te niedźwiedzie, dodatkowo dwóch weterynarzy – rzekł Dorożała. Na miejscu miśków nie wpadałabym w euforię. Choć pewna ulga jest.

U mnie też pewna ulga jest. Sąd Rejonowy dla Łodzi-Śródmieścia VIII Wydział Rodzinny i Nieletnich 16 lipca wydał wyrok: jestem zdrowa psychicznie, ergo nie można mnie zamknąć w szpitalu psychiatrycznym na leczenie. Niezły certyfikat. Zastanawiam się, czy nie włożyć go w ramki i nie powiesić na ścianie. Gdybym jeszcze mogła udowodnić przed jakimś sądem – a w żadnym razie nie mogę – że jestem dziewicą, to powinnam starać się o fuchę przyszłej księżnej Walii. Angole by wyszli lepiej na mnie niż na szurniętej przedszkolance znanej szerzej jako Lady Di. Nie, nie wpadam w euforię. Po tej prawie rocznej sądowej batalii, którą mi zafundowało miasto Łódź i MOPS, czuję niesmak.

Tymczasem 18 lipca do prokuratura generalnego (będącego także ministrem sprawiedliwości) wpłynął wniosek z Prokuratury Okręgowej w Warszawie o uchylenie immunitetu europosłowi Danielowi Obajtkowi.

Pośród różnych czynów, które się nie podobają prokuraturze, jest decyzja Obajtka, wówczas szefa Orlenu, o wycofaniu z dystrybucji numeru tygodnika „NIE" z okładką, na której był Jan Paweł II, krucyfiks Jana Pawła II i lalka przybita do rzeczonego krucyfiksu („NIE", nr 10/2023).

Pewnie, choć niekoniecznie, nasz były i obecnie martwy redaktor naczelny Waldemar Kuchanny by się ucieszył z wniosku, bo to za jego czasów rozpętała się ta inba z okładką, która nie należała do naszych najbardziej kontrowersyjnych. Ot, politycy postanowili sobie wytrzeć nami gębę i robią to ponownie teraz. Uwaga – kolorowy druk zostawia ślady na skórze oraz zaroście. A w szerszym kontekście – jak sobie przypominam projekt bodnarowej ustawy „lex cenzura", to po prostu cała drżę ze wzruszenia.

Tak się złożyło, że byłam jedną z czterech osób, które tę okładkę widziały przed drukiem. I nadal uważam, że grafika była soft. Okładka, która mi się nie podobała i nie podoba do dzisiaj, to ta, która pokazywała symbole największych religii świata wrzucone do śmietnika („NIE", nr 44/2023). Dlaczego? Bo uważam, że najgorszą religią świata jest rozbuchany konsumpcjonizm, który czyni z ludzi chciwe, przerażone świnie. A jak wiadomo, świnie nie zobaczą nieba. Żaden kościół, meczet, synagoga czy cerkiew nie są dla nas takim zagrożeniem jak pierdolony supermarket. Tyle.

Aaa, i jeszcze jedno: zdaje się, że państwo nam przestało istnieć, za to kraj jest. Czy kraj ma się dobrze? To zależy, jak się mają ci, którzy sprawiają, że się jeszcze nie rozlazł – kredytobiorcy, członkowie podstawowych komórek społecznych i aktywiści. Nie wpadajmy zatem w euforię.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 2cbfbc2498

Donald i komandosi

Grupa rekonstrukcyjna klęski wyborczej

Wojciech Młynarski opowiadał anegdotę o tym, jak przywiózł Kalinie Jędrusik tekst piosenki „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną".

– Ja mam zaśpiewać „takie ścierwo jak ty"?! Dama nie używa taki słów!

– Pani Kalino, dama, jak się zdenerwuje, to znacznie gorszych słów używa…

– On, kurwa, nic nie rozumie – rzuciła Jędrusik do Dygata.

Ta anegdota przypomina mi się ostatnio za każdym razem, kiedy słucham Donalda Tuska. Który kompletnie nie pojmuje, że to jego społeczna głuchota i partyjniacka arogancja doprowadziły do zwycięstwa Karola Nawrockiego – a bez radykalnych zmian w składzie i priorytetach rządu za dwa lata utorują Kaczyńskiemu powrotną drogę do władzy. Tymczasem wielki spektakl pt. rekonstytucja zakończył się tym, że mamy więcej tego samego, z Tuskiem na czele.

„Będę mówił bardzo szczerze i krótko" – zaczął premier swoje wystąpienie rekonstrukcyjne; po czym mówił długo i z głęboką hipokryzją. Między innymi dziękując za wybitne osiągnięcia ministrom wylanym za ewidentną nieudolność – takim jak polonistka Leszczyna w resorcie zdrowia.

Nie wiemy za wiele o jej następczyni Jolancie Sobierańskiej-Grendzie, ale już na pierwszy rzut oka zdaje się mieć dwie zalety. Po pierwsze – nie jest Izabelą Leszczyną; znajomy menedżer służby zdrowia nazwał ją nawet „odwrotnością Leszczyny", dodając, że zna system opieki zdrowotnej, ale za to nie zna się na polityce. Co nas prowadzi do drugiej zalety nowej szefowej MZ: nie należy do Platformy Obywatelskiej (ani, ponoć, do żadnej innej partii). To może sugerować, że premier postanowił dla odmiany posłuchać wyborców, którzy kryzys w służbie zdrowia nieodmiennie wymieniają jako jeden z czołowych problemów Polski – i przestać traktować ten resort jak partyjne trofeum. Z drugiej strony – wniosek może być zupełnie przeciwny: otóż Tusk wytypował do MZ bezpartyjnego fachowca, żeby mieć kogo zrzucić z sań bez straty dla swojej partii, jak kobicie się noga powinie.

Oczekiwanie na powiniętą nogę zdaje się towarzyszyć zamianie Adama Bodnara na Waldemara Żurka. Przy prezydencie Nawrockim i prezesie Święczkowskim w TK skuteczność naprawiania wymiaru sprawiedliwości przez Żurka nie będzie szczególnie odbiegała od sukcesów Bodnara. Różnica będzie taka, że Bodnar miał jeszcze jakieś resztki prawniczych skrupułów przeszkadzających mu w brutalnym łamaniu prawa i w związku z tym przez środowisko sędziowskich weteranów antypisizmu uważany był za zdrajcę. Po Żurku skrupułów raczej nie należy się spodziewać – o czym najlepiej świadczy wpis Romana Giertych na X: „Sędzia Waldemar Żurek, bohater walki o praworządność, nowym Prokuratorem Generalnym, Ministrem Sprawiedliwości. To wielka nadzieja na prawdziwe rozliczenia. Serdeczne gratulacje!". Co prawda anonimowy informator „GW" z kręgów rządowych reklamował nowego ministra jako „niezależnego od Romana Giertycha" – ale można przypuszczać, że Żurek będzie niezależnie robił (albo próbował robić) to samo, co robiłby Giertych. „Silni razem" otrzymają oczekiwane igrzyska w postaci pisowców w kajdankach wywlekanych z łóżek o świcie. Sprawność orzekania i niepodważalność wyroków specjalnie się od tego nie poprawią, ale nie można mieć wszystkiego.

O celu tej nominacji Donald Tusk zresztą mówił zaskakująco szczerze, zestawiając ją – jako „symboliczną" – z powrotem Marcina Kierwińskiego do MSWiA: „To są decyzje, które będą owocowały twardymi decyzjami", i dodał, że mylili się ci, którzy „czuli, że nie jesteśmy dostatecznie silni, zdeterminowani, waleczni czy drapieżni". Nie wiem, jak Państwo – ale ja nigdy nie kojarzyłam Kierwińskiego z „drapieżnością"; raczej z dość bezwolnym posłuszeństwem wobec wodza, które sprawiło, że w ciągu pół roku z posła, europosła i konstytucyjnego ministra stał się pełnomocnikiem rządu bez immunitetu – które to posłuszeństwo zostało właśnie wynagrodzone kosztem Tomasza Siemoniaka. Co powiedziawszy, wyznam, że w kraju tak głębokich i toksycznych podziałów od rządu walecznie drapieżnego zdecydowanie wolałabym rząd konstruktywnie koncyliacyjny. Naiwne, tak, wiem.

Ale skoro już jesteśmy przy Siemoniaku – jest on jednym z dwóch polityków PO zachowujących jakiś ułamek odrębności wobec Kierownika, toteż odebranie mu MSW raczej nie dziwi. Drugim jest Radek Sikorski – i w tym kontekście jego awans na wicepremiera może wydawać się niezgodny z Tuskową zasadą ścinania indywidualności przy gruncie. Ale tylko wydawać.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wciągnięcie Sikorskiego do prezydium Rady Ministrów jest sposobem na umoczenie go w odpowiedzialności za bardzo słaby i niepopularny gabinet. Dotychczas Sikorski cwanie manewrował tak, żeby uchodzić za czynnik wobec rządu niejako zewnętrzny,

niezamieszany w wewnętrzne niepowodzenia – w czym Tusk mimowolnie mu pomagał, uprawiając idiotyczną skądinąd narrację o tym, jak to Europa „mówi polskim językiem", zwłaszcza jeśli chodzi o wojnę, Rosję i zbrojenia, a także nieszczęsną deregulację. Teraz, jako najważniejszy – bo wywodzący się z premierowskiej partii – wiceprezes Rady Ministrów, Sikorski siedzi w saku z Tuskiem i jego *splendid isolation* przechodzi do historii.

A skoro już się zgadało o deregulacji – zdaniem Tuska złotej recepcie na rozwój gospodarczy – koncept „superresortu gospodarczego" jest absurdalny. Zaś powierzenie go Andrzejowi Domańskiemu wskazuje jasno na doskonałą obojętność premiera wobec gospodarki *en général*. Najpierw zrobił ministrem finansów faceta, który nie ma pojęcia o makroekonomii, a wcześniej zajmował się zarządzaniem funduszami inwestycyjnymi (czyt. spekulacjami na giełdzie) – a teraz umyślił połączyć w jednym resorcie działy o sprzecznych interesach. Minister finansów pilnuje kasy – więc jest niejako naturalnym przeciwnikiem ministrów odpowiedzianych za rozwój gospodarki, którzy kasę chcą (albo powinni chcieć) wydawać. Zgoda, czasem trafia się w MF wizjoner klasy prof. Kołodki, który koncepcję zarządzania budżetem państwa harmonijnie łączy z wizją rozwoju – ale zgódźmy się, że Domański ma z Kołodką tyle wspólnego, co Blanka Lipińska z Jarosławem Iwaszkiewiczem (jeśli nie wiecie, kim jest Blanka Lipińska – to właśnie o to chodzi).

Inne postacie nowego rządu nie mają szczególnego znaczenia – choć symbolizują pewne priorytety, raczej nienapawające optymizmem. Dobrym przykładem jest tu nowa ministrzyca od kultury Marta Cienkowska, która zastąpiła dobrze ocenianą przez środowisko Hannę Wróblewską, albowiem tak wynikało z podziału łupów. P. Cienkowska jest politolożką z doświadczeniem w produkcji teatralnej i reklamie, raczej nieznaną w środowisku twórców kultury, ale za to należy do Polski 2050, której należał się dodatkowy resort. Nowe – ponoć bardzo ważne – Ministerstwo Energii objął 32-letni rzecznik PSL po inżynierii środowiska Miłosz Motyka, bo należało się ludowcom. Innym widomym znakiem, iż koalicyjna układanka ma absolutne pierwszeństwo przed jakością pracy ministrów, jest pozostawienie na stanowisku Barbary Nowackiej – w sondażach wskazywanej jako najgorszy członek rządu – a także nieszczęsnego Marcina Kulaska, którego jedyną kwalifikacją jest poparcie Czarzastego.

„To jest trochę zespół komandosów" – ogłosił premier na zakończenie trwającego trzy kwadranse songu ku czci partyjniactwa. – „Innego motta nasz zespół nie potrzebuje, niż te najprostsze słowa: »Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy«. Przepraszam za patos, ale głęboko w to wierzę, że powołujemy dzisiaj grupę ludzi do wielkich zadań; trudnych, ale wielkich".

Takich jak dotrwanie przy żłobie do końca kadencji.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Rodzina, ach rodzina!

Wokół teścia Wysockiej-Schnepf

Różne są rodziny. Guru Charles Manson nazwał swoją zbrodniczą sektę Rodziną. Była rodzina Borgiów wewnętrzne spory rozwiązująca trucizną i sztyletem. U chrześcijan w cenie jest Święta Rodzina, w sumie dość dziwna, bo choć matka nie uprawiała ponoć seksu, to zaszła w ciążę, i to nie ze swoim mężem. Jest też rodzina z piosenki Big Cyca, o którą troszczy się „sam ksiądz kardynał, daje wskazówki i dobre rady, polska rodzina świeci przykładem".

Kiedy urodzona w Jeleniej Górze dziennikarka Dorota Wysocka wyszła za mąż za dyplomatę Ryszarda Schnepfa, myślała, że trafiła do szacownej, dystyngowanej i cenionej familii. Ale prawica nigdy nie wybacza swoim przeciwnikom. I jeśli nie znajduje haków już w ich życiorysach – w końcu Ryszard za komuny zakładał komórkę Solidarności na iberystyce na UW – ryje w biografiach ich przodków.

Kiedy Wysocka-Schnepf (obecnie TVP) zaczęła być medialnym antypisowskim bulterierem, prawicowe media – a zwłaszcza niezawodny w takich wypadkach Krzysztof Stanowski – zaczęły snuć na poły obłąkańcze teorie, że jej niechęć wobec „patriotów" jest pokłosiem aktywności jej zmarłego w 2003 r. teścia Maksymiliana Sznepfa zwalczającego po II wojnie światowej podziemie antykomunistyczne.

Oczywiście, głęboko w piździe mam przepychanki w ramach PO–PiS-u, lecz sprawa ta jest niczym papierek lakmusowy stanu zdrowia psychicznego polskiej prawicy skrajnie wybiórczej w swoich demaskatorskich krucjatach wymierzonych tylko w rodziny ludzi, których nie lubi. A przy okazji totalnie zakłamujących dzieje ojczyzny, którą podobno tak bardzo kocha.

„Mały Katyń"

Najnowsza odsłona gównoburzy zaczęła się, gdy Instytut Pileckiego nie umieścił Maksymiliana Sznepfa na liście „oprawców" zdobiącej otwarty niedawno w Augustowie „Dom Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej". Kiedy pisowcy wszczęli raban, instytut odpowiedział wpisem w social mediach: „Porucznik Maksymilian Sznepf dowodził jednostką ludowego WP o wielkości 110–160 żołnierzy, która zatrzymała 22 osoby, z których część nigdy nie wróciła do domu". I nieopatrznie dodał: „W Obławę zaangażowanych było 45 000 żołnierzy, udział jednostki Schnepfa stanowi jedynie 2 promile tych sił".

Poszło o te promile. Były ambasador RP w USA Marek Magierowski stwierdził: „W tłumieniu Powstania Warszawskiego uczestniczyło ok. 2700 członków dywizji Waffen SS Oskara Dirlewangera. 2,7 promila wszystkich żołnierzy tej struktury w szczytowym okresie. Sugeruję usunięcie tego wpisu. Albo usunięcie nazwiska Rotmistrza z nazwy Instytutu. Infamia".

Dziennikarz Wojciech Wybranowski bredził na tę samą nutę: „Czy strażnik, który osobiście zaprowadził do komory gazowej stu więźniów, jest mniej winny, bo w całym obozie zamordowano milion? Czy to, co zrobił, to »jedynie promil« całości zbrodni? Prawda jest brutalna: podporucznik Sznepf brał udział w sowieckiej zbrodni na polskich obywatelach. I żadne dzielenie przez 45 000 tego faktu nie zmieni".

Poza tradycyjnym dla prawaków zrównywaniem komunizmu z hitleryzmem mówiono o „małym Katyniu" oraz 2 tys. osób, które nie wróciły do domów. A fakt, że Sznepf był z pochodzenia Żydem, też nie jest bez znaczenia. Wiadomo, że ustrój powojenny w Polsce był żydokomuną; prawdziwi Polacy nie mogliby go wszak wprowadzać.

Tzw. obława augustowska to akcja z lipca 1945 r., gdy ok. 50 tys. żołnierzy z 50. Armii 3. Frontu Białoruskiego przeczesało obszar ok. 3,5 tys. km kw., zatrzymując 7 tys. osób za przynależność do AK i podziemia litewskiego. Historycy – opierając się na dokumentach – skłaniają się ku tezie, że 9 proc. z zabranych nie wróciło do domów; prawdopodobnie rozstrzelano 592 Polaków. Takie dane podała Barbara Bojaryn-Kazberuk – podówczas pracownica IPN – w opublikowanym w 2018 r. artykule „Obława augustowska – egzemplifikacja traumy wschodniej – na podstawie relacji rodzin ofiar zebranych w latach osiemdziesiątych XX wieku".

Zapomina się, że po II wojnie światowej szybko pojawiło się podziemie antykomunistyczne, walczące z nową władzą z bronią w ręku. Zacytuję fragment wspomnień Zygmunta Baumana: „Łatwo się dziś zapomina, że strzelano z obu stron. Toczyło się wszak, szczególnie na wschodnich obrzeżach kraju, coś w rodzaju miniwojny domowej. Nie wiem, nikt chyba tego porządnie nie podliczy, ilu Polaków od czyich (równie polskich!) kul padło, z której strony więcej było w tych latach ofiar, a z której morderców".

W ślady Pawki

Na dobre i na złe, rodzina ma na nas wpływ. Zarówno biologiczna – rodzice, rodzeństwo, dziadkowie – jak i ta z wyboru: żony, mężowie, teściowie czy szwagrowie. Ale każdy psycholog rozwojowy powie, że miarą dojrzewania jest osobista autonomia; jeśli ktoś jest ukształtowany przez matkę czy ojca niczym ludzik z plasteliny, nic dobrego to nie przyniesie.

Rzecz jasna, są rodziny typu Giertychów, których kolejni przedstawiciele od 100 lat (w II RP Jędrzej, w PRL i po 1989 r. jego syn Maciej, a od ćwierć wieku Roman, którego imię zdaje się hołdem złożonym Dmowskiemu) konsekwentnie walczą z komuną i promują nacjonalizm. Niemniej jednak historia pokazuje, że można wybierać inaczej, niż by sobie nasza rodzina życzyła.

Kiedy Bernardo Bertolucci nakręcił w 1987 r. film „Ostatni cesarz" (zdobywca dziewięciu Oscarów!), brytyjski marksista Tariq Ali zapytał chińskich towarzyszy, co o nim sądzą. Usłyszał, że film nie zrobił na nich większego wrażenia, bo życie na dworze ostatniego cesarza wyglądało inaczej. Skąd to wiedzą? To proste, jako dzieci dygnitarzy dorastali oni na dworze…

Wśród przodków najsłynniejszego rewolucjonisty ubiegłego stulecia Ernesta „Che" Guevary było szlachciców jak psów. Generał Wojciech

Jaruzelski też wywodził się ze szlachty z papierami od XII w., toteż – jak wyznał mi kiedyś pewien herbowy przy winie – środowiska arystokracji miały po 13 grudnia zgryz: no bo antykomunizm antykomunizmem, lecz jeden z nich dzierżył niepodzielną władzę w kraju…

Ryszard Terlecki zlustrował swego ojca Olgierda, zresztą niezłego pisarza. Sławomir Cenckiewicz zasłynął jako lustrator swojego dziadka Mieczysława. Obaj idą w ślady stalinowskiego bohatera, Pawlika Morozowa, który zadenuncjował własnego ojca – uczestnika spisku kułaków przeciwko władzy radzieckiej. Życie to sztuka wyborów. Nikt nie miał wpływu na to, w jakiej urodził się rodzinie. Każdy ma prawo do własnej pamięci i własnej oceny.

K.K.

eprasa.pl 2cbfbc2498

Mój przyjaciel z Wehrmachtu

Awantura o „Naszych chłopców” – głupia i szkodliwa

Znowu zrobiło się głośno o „chłopcach z Wehrmachtu”. Odnoszę wrażenie, że spora część naszego społeczeństwa – podjudzana przez prawicę – uważa Polaków, którzy służyli w niemieckiej armii, za rodzaj zdrajców i sprzedawczyków. To haniebna bzdura. Człowiek, którego osiedle w czasie wojny zostało wcielone do Niemiec czy innego obcego państwa, podlegał jego prawom i odmawiając poboru do wojska, ryzykowałby życiem. Ludziom dziś się wmawia, że takie ryzyko tysiące Polaków powinny były podjąć. Roman Dmowski był innego zdania: polityków, którzy oczekiwaliby od współobywateli ofiary życia dla samej demonstracji polskości, piętnował jako przestępców.

Polacy służący w Wehrmachcie już jako jeńcy licznie wzmocnili szeregi korpusu generała Władysława Andersa i inne polskie formacje na Zachodzie. A w mniejszej liczbie trafiali się i na Wschodzie; jako berlingowiec miałem z nimi osobisty kontakt wart opisania.

Po bitwie stalingradzkiej władze radzieckie spośród tysięcy jeńców wyselekcjonowały kilkuset Polaków ze Śląska gotowych podjąć służbę w wojsku polskim. Kilkunastu z nich trafiło do Samodzielnego Batalionu Zmotoryzowanych Fizylierów 1. Brygady Pancernej, w którym przez całą wojnę służyłem. Jeden zaś – do plutonu sztabowego, którym dowodziłem, Był moim rówieśnikiem, pochodził z Chorzowa, nazywał się Joachim Koczy. Zaprzyjaźniłem się z nim.

Trafił do naszej drużyny przeciwlotniczych ckm, później przeszedł do kompanii ckm. Okazał się – jak i jego pozostali koledzy – wspaniałym żołnierzem, doskonale wyszkolonym, walecznym. Nie odmawiał też prośbom oficerów politycznych, prowadził pogadanki o sytuacji Polaków pod okupacją i w wojsku niemieckim. Szybko awansował. Po roku był już oficerem, a zaraz po wojnie, gdy trzeba było obsadzić stanowiska zwalniane przez oficerów radzieckich, został nawet zastępcą dowódcy batalionu. Brygadę naszą wtedy rozformowano i nasze drogi się rozeszły. Koczy został w nowo formującym się pułku czołgów, mnie przeniesiono do Dowództwa Wojsk Pancernych w Modlinie, skąd po roku odszedłem do cywila.

Najbliższy kontakt z Joachimem miałem wiosną 1944 r., na Ukrainie. W czasie wiosennych roztopów brygada utknęła na kilka tygodni w ukraińskim błocie w rejonie Winnicy. Błoto unieruchomiło nie tylko czołgi, ale też nasze ciężkie amerykańskie samochody, front oddalił się na zachód, mieliśmy coś na kształt wakacji, Spotykaliśmy się w zaprzyjaźnionym gronie kilku osób na kwaterze podchorążego Mariana Fuksa ze sztabu brygady.

To skądinąd też ciekawa postać: całkowicie spolszczony Żyd warszawski, po podchorążówce strzelców konnych we Włodzimierzu Wołyńskim. Barwnie opowiadał o swojej podchorążówce. Gdy się tam zameldował, wachmistrz od koni zaprowadził go do stajni i wskazał konia. Mariana zaciekawiły czerwone wstążeczki w grzywie i ogonie zwierzęcia, wachmistrz roześmiał się i poinformował, że oznaczają, iż ten koń kopie i gryzie. Dodał, że jest w sam raz dla „Icka” – jak żartobliwie Mariana tam zwano. Ale nie został skopany i pogryziony. Ku zdumieniu wachmistrza i całego szwadronu zaprzyjaźnił się z koniem. Lubił jeździectwo, był po profesjonalnym kursie w tej dziedzinie. Kupił dwa kilo cukru w kostkach i koń go zaakceptował. Taki był Marian. Z wojska wymiótł go marzec 1968.

Na te ukraińskie spotkania zapraszaliśmy Koczego i wypytywaliśmy o Wehrmacht. Byliśmy ciekawi naszego wroga, mundurów, jedzenia, szkolenia, relacji ze starszyzną, wszystkiego. Piosenek też – odkryliśmy jedną wspólną: o Madilon, co do stołu nam podaje. Ale pamiętam, że Joachim, siedząc na podłodze, prezentował nam też pieśni hitlerowskie: odśpiewał „Horst Wessel Lied” i „Wacht am Rein”.

Po wojnie nasze kontakty się urwały. Gdzieś w 1948 r. spotkałem go na dziedzińcu UW. Ja usiłowałem studiować na roku wstępnym na wydział historii i skorzystać z tej drogi dla edukacyjnie poszkodowanych przez wojnę. Joachim zrobił skróconą maturę w jednostce i chciał zapisać się na studia geograficzne. Potem dowiedziałem się, że w 1949 r., kiedy do władzy doszli komunistyczni protoplaści dzisiejszego PiS, czujni łowcy posad i urojonych wrogów, Joachima i innych wermachtowców z wojska usunięto. Nawet kawalerów Virtuti nie oszczędzono.

Mijały lata, po październiku 1956 zarysowało się wielkie zbliżenie PRL i ChRL. Do Chin zaproszono kilkuosobową polską misję studyjną, która miała zapoznać się z tym krajem. Znalazłem się w jej składzie. Na samym początku, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w hotelu Pekin, idę rano do restauracji na śniadanie i oczom nie wierzę: naprzeciw idzie Joachim Koczy. Potem była nocna rodaków rozmowa.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Okazało się, że ukończył z wyróżnieniem geografię i zamierzył napisać pracę o wpływie chińskich przemian w rolnictwie na sytuację żywnościową Azji. Opanował język, dostał grant i właśnie wraca z kilkumiesięcznej obserwacji uczestniczącej na chińskiej wsi. Podziwiałem go. Potem znowu kontakt się urwał. Aż po upadku Polski Ludowej moja wnuczka Joanna wyszła za mąż za chłopca, którego rodzice w szczycie PRL pracowali na polskiej placówce w Pekinie. Kiedyś przy okazji towarzyskiej opowiadałem o swoim pobycie w Chinach i wymieniłem Joachima Koczego. Teściowa wnuczki zawołała: „To nasz Chimek!”. Znali go przez kilka lat, pracował tam w polskiej dyplomacji. Dowiedziałem się, że załamało się mu zdrowie i dość młodo zmarł, jest pochowany w Legionowie, gdzie się ożenił. To i inne moje spotkania z „żołnierzami z Wehrmachtu” nastroiły mnie do nich zdecydowanie pozytywnie, a do straszących nimi dzieci – negatywnie.

Na koniec uwaga ogólna. Polska jest krajem, w którym

jedynie ostatni nieuk może pasjonować się polityczną nagonką na byłych wermachtowców – i w ogóle na Polaków weteranów cudzych armii. Bez tych weteranów 100 lat temu Polska nie obroniłaby swej odzyskanej niepodległości i w miarę korzystnych granic.

Bez tych weteranów nie byłoby wojska zdolnego do sprostania wyzwaniom.

Wielką rolę w tych walkach odegrała Błękitna Armia Józefa Hallera sformowana we Francji. Potocznie sądzi się, że z emigrantów. W rzeczywistości w dwu trzecich z protoplastów „chłopców z Wehrmachtu”: Polaków z armii niemieckiej, którzy dostali się do francuskiej niewoli. Było to wspaniałe wojsko, wyposażone przez Francję i Wielką Brytanię, a wyszkolone przez Niemcy. Odegrało kluczową rolę w wojnie z Ukraińcami o Galicję, a wybitną – w wojnie z bolszewikami. Jego wadą był wybujały nacjonalizm – zapisało niechlubne karty udziałem w kilku ówczesnych pogromach Żydów.

Ale też inne formacje wojskowe organizowane już w Polsce co najmniej w 60 proc. składały się wówczas z weteranów wojsk austriackich i rosyjskich. Podobnie było z generalicją. Wśród dziesiątki dowodzących bitwą warszawską 1920 r. tylko dwaj – Józef Piłsudski i Edward Rydz-Śmigły – byli polskiego rodzimego chowu. Pozostali to generałowie austriaccy; wśród nich szef sztabu Zygmunt Rozwadowski, a także dowodzący frontami Józef Haller i Władysław Sikorski. Generalicja II RP w znacznej części składała się z oficerów obcego rodowodu. Kilku doczekało II wojny światowej: sam Sikorski, wódz naczelny na emigracji czy dowódca Armii Łódź oraz obrony Warszawy Juliusz Rómmel wywodzący się z armii rosyjskiej. Stamtąd też wywodził się Władysław Anders.

Wysokim rosyjskim oficerem był ulubieniec Piłsudskiego gen. Daniel Konarzewski, szef OW Warszawa. W czasie wojny światowej dowodził elitarną rosyjską dywizją. Był wspaniałym, szanowanym żołnierzem, ale nie mówił czystą polszczyzną, lecz swoistym polsko-rosyjskim wolapikiem.

Na ten temat krążyły w II RP liczne anegdoty, frywolne i poważniejsze. Przytoczmy dwie. Frywolna: dama z towarzystwa zdumiona słucha, jak generał zaleca jej zaufać porucznikowi, któremu polecił zająć się jej skargą: „To dobry chłopiec. Pani może się na nim położyć. On się dokładnie z Panią rozbierze”… A poważniejsza: trwa wielka narada po ogólnokrajowych ćwiczeniach, przewodniczy Piłsudski, referuje główny rozjemca Konarzewski. Po chwili zacina się, nie mogąc znaleźć polskiego terminu. Dobrotliwie wybawia go Piłsudski: „Taż ty, Danyło, skaży eto po swojemu, wsie pojmiom” („Danielu powiedz to po swojemu, wszyscy zrozumiemy”). Nikomu wówczas nie przychodziło do głowy, aby generałów z zaborczych armii odsyłać na emeryturę.

Polska ma chłopcom z różnych „Wehrmachtów” wiele do zawdzięczenia – o czym nigdy nie lubiła pamiętać. I nie lubi do dziś. A szkoda.

ANDRZEJ WERBLAN

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Raport „Polaków portfel własny: oszczędny jak Polak” przygotowany przez Santander Consumer Bank z kwietnia. Aż 49 proc. Polaków przyznaje, że ich dochody wystarczają jedynie na bieżące wydatki. Co czwarty deklaruje, że stać go zarówno na codzienne potrzeby, jak i regularne oszczędzanie. Najtrudniejszą sytuację mają seniorzy. 66 proc. nie jest w stanie odłożyć żadnych pieniędzy. 61 proc. Polaków utrzymuje się samodzielnie, bez wsparcia rodziny. Wśród seniorów ten odsetek sięga 88 proc. Jednocześnie co piąty badany przyznaje, że czasem korzysta z pomocy bliskich – najczęściej są to osoby w wieku 20–39 lat.

▮ Fortuna jednak uśmiecha się do lekarzy, podczas gdy ich pacjenci ledwo wiążą koniec z końcem. Dane Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji pokazują, że mediana wartości kontraktu specjalisty to 24,6 tys. zł brutto, a umowy o pracę – 21,5 tys. zł (miesięcznie). Szczęśliwy 1 proc. lekarzy zgarnia bajońskie sumy – od 100 do 300 tys. zł miesięcznie! Prezes agencji Daniel Rutkowski szacuje, że 450–500 lekarzy przekracza próg 100 tys. zł na etacie. Na dole drabiny finansowej są stażyści z minimalnym wynagrodzeniem 7772 zł brutto. Czyżby lekarze wreszcie znaleźli receptę na bogactwo?

▮ W miejscowości Kulaszne (gmina Komańcza) ktoś przeciął kabelek telekomunikacyjny. Patrol przyjechał, popatrzył i rzeczywiście – pięciu chłopa odpowiadających rysopisowi. Nie byli z Ukrainy. Nie byli z Afganistanu. Nie byli też z Somalii, Czeczenii ani z żadnego innego miejsca, które dałoby się wcisnąć w narrację o „biednych uchodźcach napędzanych przez imperializm”. To byli… Słowacy. Mieszkańcy strefy euro. Członkowie Unii Europejskiej. Kraju o solidnych asfaltach i czekoladzie Studentská. Chłopy w wieku od 21 do 45 lat, wyposażeni w sprzęt do cięcia i skromne 250 m cudzych kabli. Straty? 4 tys. zł. Pytanie zasadnicze: dlaczego Słowacy? Naród, z którym dzielimy Tatry, dobre piwo i wspólne zażenowanie podczas Eurowizji. To naprawdę nie było konieczne. Można było po prostu poprosić. Albo napisać petycję. A tak – zbrodnia telekomunikacyjna w bieszczadzkich chaszczach. Słowacjo! Co się z tobą dzieje?

▮ We Włocławku przy ul. Bojańczyka pies rodzinny rzucił się na trzyletnie dziecko. Potem na jego ojca. Zwierzę mieszkało z nimi od 12 lat (z dzieckiem od trzech), nie przejawiało nienawiści, nie głosowało na Konfederację. A jednak zaatakowało. Matka wezwała policję. Policja przyjechała i zastrzeliła… psa. Może przez pomyłkę, może z wyrachowania. Sprawę wyjaśnił dopiero weterynarz od zwłok: pies miał udar słoneczny. Czyli mózg ugotowało mu słońce, a nie polityka. Wniosek? Latem nie zostawiajmy dzieci, ojców ani psów na słońcu, bo nie wiadomo, kto pierwszy zaatakuje.

▮ W Somoninie (woj. pomorskie) policja zastała 36-letnią kobietę i jej 35-letniego partnera, którzy – mając ponad 2 promile alkoholu – „opiekowali się” pięciorgiem dzieci. Najmłodsze z nich miało zaledwie sześć dni. Wymagało pomocy medycznej. Dzieci przekazano pod opiekę osoby wskazanej, noworodka przewieziono do szpitala. Sąd Rodzinny został powiadomiony. Parze grozi do pięciu lat więzienia za narażenie dzieci na niebezpieczeństwo. Dzieciom grozi pięć lat sierocińca.

▮ Jak podała Polska Agencja Prasowa, w Ośrodku Pomocy Społecznej w Kostrzynie nad Odrą (woj. lubuskie) stwierdzono brak pieniędzy w wysokości 7 mln zł. Manko wyszło po 17 latach. Cztery pracownice – formalnie odpowiedzialne za udzielanie wsparcia osobom i rodzinom w trudnej sytuacji życiowej – miały systematycznie przyznawać pomoc same sobie. Błyskawiczna akcja Wydziału do Walki z Korupcją Komendy w Gorzowie Wielkopolskim i już są w areszcie. Czy zatrudnione w OPS kobiety rzeczywiście kwalifikowały się do objęcia pomocą społeczną – wyjaśnia prokuratura.

▮ W Poznaniu amstaff zaatakował listonosza. Ofiara ugryziona w rękę (na szczęście nie w mózg) przeżyła. Agresor, nieszczepiony (pewnie antyszczepionkowiec), pozostaje na wolności. Właścicielka ukarana mandatem 500 zł. Może listonosz sprowokował, nosząc niebieski uniform, kojarzący się z (tu wstawić organizację)?

▮ Sąd w Łomży wydał wyrok skazujący na nauczycielkę ze szkoły podstawowej z miejscowości Kuzie, gmina Zbójna, woj. podlaskie. Oskarżona jest winna doprowadzeniu bardzo małoletniego mężczyzny do obcowania płciowego oraz kidnapingu. Sąd orzekł sześć miesięcy więzienia, zakaz kontaktowania z pokrzywdzonym i zbliżania się do niego na odległość mniejszą niż 50 m przez trzy lata. Oraz zakaz wykonywania zawodu nauczyciela przez lat siedem. Niniejsza sprawa unaocznia powagę odpowiedzialności zawodowej i moralnej, jaka ciąży na osobach zatrudnionych w systemie oświaty. Powierzenie nauczycielowi obowiązku pracy z dziećmi i młodzieżą nie może ograniczać się do przekazywania wiedzy. Musi obejmować również bezwzględne przestrzeganie norm etycznych, prawa karnego oraz ochrony dobra dziecka. Zdarzenia tego rodzaju, choć incydentalne, godzą w zaufanie publiczne do instytucji szkoły jako środowiska wychowawczego i opiekuńczego. Wymagają one zatem stanowczej i jednoznacznej reakcji zarówno ze strony wymiaru sprawiedliwości, jak i organów prowadzących szkoły (no, no... widzę, że moje pióro nabrało rozpędu. Ćwiczenia nie poszły na marne).

▮ Poznań przygotowuje się na falę gości z Dubaju – zapowiada Jan Mazurczak, szef Poznańskiej Organizacji Turystycznej. Po rocznych staraniach uruchomiono wreszcie połączenie lotnicze Poznań–Dubaj, co w lokalnych kręgach uznano niemal za osiągnięcie cywilizacyjne. – Samoloty są pełne, także w drugą stronę – triumfuje Mazurczak. Dotąd poznanianki tłumnie leciały do Dubaju, teraz trend się odwraca. Szejkowie przyjeżdżają do Poznania. Ciekawe dlaczego. Może to przez ten herb, symbol miasta z dwoma trykającymi się koziołkami? Egzotyka działa w obie strony.

▮ Prezes UOKiK postawił zarzuty Jeronimo Martins Polska (właścicielowi Biedronki), 32 firmom transportowym i ośmiu menedżerom w związku z podejrzeniem zmowy ograniczającej możliwość przechodzenia kierowców między firmami obsługującymi centra dystrybucyjne Biedronki. Celem porozumienia miało być uniknięcie wzajemnego podkupywania pracowników. To ograniczało ich możliwości zmiany pracy i podnoszenia wynagrodzeń. Tzw. porozumienia no-poach (to znaczy o niewolnictwo) są jeszcze nielegalne. Grozi za nie kara do 10 proc. obrotu firmy, a menedżerom – do 2 mln zł. UOKiK przypomina menedżerom, że można skorzystać z programu łagodzenia kar w zamian za współpracę jako świadek koronny (donosiciel).

▮ Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Chełmie opublikowało właśnie spis osób, które przeżyły pogromy na Wołyniu. Książka zatytułowana „Ewidencja uchodźców z Wołynia przebywających na terenie gminy miejskiej w Chełmie” została opracowana przez historyków Edwarda Gigilewicza, Leona Popka i Pawła Skroka. Trudno nie zauważyć, że publikacja ta znacząco wykracza poza statutowe ramy instytucji, która z definicji ma dokumentować ofiarę, a nie ocalenie. W tym kontekście nie dziwi, że placówka, która miała być finansowana z funduszy Ministerstwa Kultury, mimo podpisanej umowy z miastem, dotacji rządowych nie otrzymała. Ministerstwo zerwało ustalenia, wykręcając się, że nie ma pieniędzy „ani na żywych, ani na pomarszowanych”.

▮ Policjanci zatrzymali w Gnieźnie… policjanta, który pędził elektryczną hulajnogą z przesadną prędkością, będąc pod wpływem alkoholu. Na domiar złego znaleziono przy nim narkotyki. Jak donosi portal gniezno24.com, nie jest to pierwszy raz, gdy ten sam funkcjonariusz dopuścił się podobnych niecności. Teraz grozi mu zakaz prowadzenia hulajnóg, obowiązkowa abstynencja od wódki i opiatów, a nawet – w przypadku kolejnej recydywy – usunięcie ze służby. Taką możliwość potwierdziła rzeczniczka prasowa gnieźnieńskiej policji.

RJ

PS Zastrzega się, iż powyższe informacje opierają się na doniesieniach medialnych pochodzących z prasy regionalnej, w której – stosownie do uwarunkowań lokalnych – przyjęta została swoista, niekoniecznie uniwersalna wykładnia pojęcia prawdy obiektywnej. W związku z powyższym formułowanie uogólnionych konkluzji, w szczególności w zakresie potencjalnych następstw prawnych, uznać należy za przedwczesne, ryzykowne interpretacyjnie i niezalecane z punktu widzenia należytej staranności analitycznej. (I jak? No, no. Też jestem pod wrażeniem, że udało mi się to napisać na trzeźwo).

eprasa.pl 2cbfbc2498

Rys. OBYWATEL JANEK

Kiedy opadł kosmiczny pył

Pomidorowa liofilizowana

Sławosz Uznański-Wiśniewski szczęśliwie powrócił na ziemię, a wodowanie kapsuły Dragon z najwyższym napięciem oglądał sam premier, czego mogliśmy się dowiedzieć z zamieszczonego przez Tuska filmiku zatytułowanego odkrywczo „No i wylądował!”.

W roku 1961, kiedy jako dwunastolatek bawiłem na koloniach letnich w zabrzańskiej Rokitnicy, miałem zaszczyt i honor ucisnąć rękę pierwszego zdobywcy kosmosu. Spotkanie z Jurijem Gagarinem było dla mnie wtedy wielkim wydarzeniem, bo był to dla mnie naprawdę ktoś wielki. Gdzieś, pewnie w starych szpargałach, mam nawet jego pocztówkowe zdjęcie z własnoręcznym (a być może faksymilowym) podpisem. Po tym spotkaniu znaczenia nie miało już dla mnie nazwisko Giermana Titowa, który 6 sierpnia 1961 r. jako drugi człowiek okrążył Ziemię na pokładzie Wostoku 2, ani Walentyny Tiereszkowej, która jako pierwsza i jedyna w dotychczasowej historii kobieta odbyła lot kosmiczny w pojedynkę i zainspirowała wielki przebój tych czasów: „Wala twist” śpiewany przez Filipinki. Dziś ta sama prawie 90-letnia Tierieszkowa za swoje poparcie dla inwazji Rosji na Ukrainę stała się persona non grata dla Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych.

To nie ludzie jednak byli bohaterami pierwszych kosmicznych podbojów! Łajka w 1957 r., Biełka i Striełka w 1960, francuska kotka Félicette w 1963 – to dzięki nim i innym zwierzątkom kosmonautom pan Sławosz Uznański-Wiśniewski może dziś bezpiecznie wywijać fikołki w stanie nieważkości i jako pierwszy Polak naukowo konsumować liofilizowane pierogi na międzynarodowej stacji orbitalnej dowieziony tam amerykańskim statkiem kosmicznym. Pierogi Uznańskiego trafiły już na rynek kieleckiej gastronomii. Oprócz pierogów dla polskiego astronauty przygotowano także specjalne leczo z kaszą gryczaną oraz kruszonkę z jabłkami. W ramach kolekcji „astro menu” powstały również liofilizowana zupa pomidorowa z makaronem orzo oraz tzw. astrodropsy, czyli liofilizowane musy owocowe. Sam transport wyżerki naszego kosmonauty oraz jego ulubionych precjozów kosztował ok. 5 tys. dol. za każdy kilogram.

Pan Uznański-Wiśniewski wiele klamotów ze sobą nie zabrał, bo raptem: polską flagę, bryłkę soli z Wieliczki, kawałek polskiego bursztynu, naszywkę z nazwiskiem Hermaszewskiego, rękopis „Mazurka As-dur” Chopina, wiersze Szymborskiej, serduszko WOŚP oraz pamiątki związane z Marią Skłodowską-Curie. Oprócz tego, w celach naukowych, zabrał ze sobą zmodyfikowane genetycznie drożdże i leki w polimerowych osłonach. Dobrze chociaż, że ograniczenia wagowe sprawiają, że bagaż astronauty nie może przekraczać kilograma.

Znacznie drożej kosztuje transport samego kosmonauty. Nasz kosmonauta waży 85 kg. Koszt misji IGNIS to 70 mln euro, czyli ok. 320 mln zł. Wywiezienie kilograma polskiego astronauty na orbitę kosztowało zatem 3 764 705,88 zł.

Minister finansów Andrzej Domański przekonuje, że to inwestycja, która się zwróci. To pomysł wzięty żywcem z opracowań AI napędzanych zresztą przez konsorcjum Elona Muska, który bilety na tę wycieczkę sprzedaje. „Kto dziś nie ma swojego człowieka w kosmosie, jutro może być najwyżej czyimś podwykonawcą” – to bzdurna teza lansowana przez opłacane media i wielkich graczy „gwiezdnych wojen”.

W tej grze liczą się posiadacze kosmicznych środków transportu: rakiet nośnych, kapsuł, lądowników i stacji. Zabierani raz na pół wieku polscy kosmonauci są tylko gośćmi właścicieli konsorcjum, które pozwala im pobawić się zabranymi ze sobą klockami,

powyglądać przez okno i pogadać o niczym z premierem rządu. Trzeba pogodzić się z tym, że teraz – kiedy w kosmos za friko wozi się co bardziej znane celebrytki, a orbitę ziemską za większy lub mniejszy szmal odwiedziło już 635 osób – wycieczka taka przestaje być jakąkolwiek nobilitacją. Turystyczne wycieczki w kosmos stają się coraz bardziej realne – przynajmniej dla miliarderów. Firmy takie jak Virgin Galactic i Blue Origin oferują loty suborbitalne, pozwalające turystom doświadczyć krótkotrwałej nieważkości i zobaczyć Ziemię z kosmosu. Dla lotów takich trzeba zapewnić jednak znacznie wyższy standard sprawności transportu – żeby turysta, który płaci i wymaga, nie musiał czekać miesiącami na pięciokrotnie odkładany start.

A tak swoją drogą: korci mnie taki pomysł, żeby w podróże kosmiczne, zamiast tak potrzebnych Polsce inżynierów, wysyłać polityków wybieranych do tej misji w powszechnych demokratycznych wyborach. Przy obecnej sprawności transportowych pojazdów kosmicznych Elona Muska można mieć nadzieję, że nie każdy wybraniec narodu na ziemię powróci.

TADEUSZ GAWLIK

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Polityka potrafi zagrozić życiu człowieka – przez aborcję, przez eutanazję, przez niezabezpieczanie granic.*** *A żadna władza, żaden rząd, żaden parlament nie mają prawa wprowadzić takiego prawa, które prowadzi ku śmierci. Niezapomniany papież Benedykt XVI mówił, że polityka musi być działaniem na rzecz sprawiedliwości.* ***Dlatego trzeba nieustająco głosić prawdę Ewangelii i w ten sposób wypełniać najważniejszy przekaz chrześcijaństwa: nawracajcie się, zmieniajcie świat na lepszy, sprawiedliwszy, zaczynając tę przemianę od siebie.***

bp Wiesław Mering, homilia, Jasna Góra, 13 lipca

Rys. OBYWATEL JANEK

■ *Życzę biskupom, aby nie bali się podejmować kwestii ważnych dla Polski.* ***Mają obowiązek napominać także rządzących. I nie jest to „mieszanie się do polityki”, ale wypełnianie misji wynikającej z nakazu Jezusa, aby głosić Ewangelię w porę i nie w porę, wykazywać błędy, podnosić na duchu.***

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, „Nasz Dziennik”, 18 lipca

■ ***Przeciwko Panu Bogu, w którego nie wierzą. Przeciwko Kościołowi, którego nie tolerują. Przeciwko chrześcijaństwu, którego nie rozumieją.*** *Przeciwko prawu, którego nie szanują. Przeciw edukacji, która im przeszkadza. Przeciw…* ***Komuna czy neokomuna – zawsze jest to samo.***

bp Marek Mendyk, X, 18 lipca

■ *Dziś znajdujemy się w niezwykle trudnym momencie historii. Ludzie nieprzyzwoici zdjęli maski i wyszli z ukrycia.* ***Siłę do przetrwania tej dziejowej zawieruchy odnajdziemy wyłącznie w Kościele i wierze katolickiej, która stanowi fundament polskiej tożsamości narodowej.***

ks. Jacek Dąbrowski, X, 17 lipca

■ *Człowiek szuka ukojenia, jak oszalały klient w sklepie, uganiający się za produktem, który by go biologicznie upiększył, przedłużył życie, dał jakąś cielesną przyjemność. A Jezus, który mówi „przyjdźcie do mnie”, oferuje nam „produkt”, który nie zepsuje się po przekroczeniu daty ważności (…). On daje gwarancję życia bez końca.* ***Człowiek jednak nierzadko omija tę półkę z ofertą Boga, bo uznaje ją za zbyt wysoką, nieosiągalną, nieprzekonującą, może za słabo zareklamowaną albo inteligentnie obrzydzoną przez siłę szatana.***

ks. Piotr Bajor, homilia, Watykan, 17 lipca

■ *List Sikorskiego przeczy autonomii Kościoła i państwa.* ***To jest klasyczny przykład schizofrenii i hipokryzji obecnej władzy, która z jednej strony domaga się rozdziału Kościoła od państwa, a z drugiej strony z butami ingeruje, wręcz na zasadzie austriackiego józefinizmu. Ingeruje w życie Kościoła, a przykładów jest wiele, choćby usiłując narzucić sprawowanie sakramentu pokuty w odpowiednim przedziale wieku bądź usiłując kreować wychowanie religijne i ostatecznie też ingerując w zakres kompetencji biskupów w przepowiadaniu Słowa Bożego.*** *To jest właśnie swoista hipokryzja, zaprzeczająca zasadzie autonomii Kościoła i państwa.*

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, wPolityce.pl, 16 lipca

■ *Dziś jesteście tu państwo po raz 34., by dziękować Stwórcy i Bogarodzicy za doznane łaski, by wypraszać kolejne dobrodziejstwa oraz by dać świadectwo miłości do Pana Boga, Kościoła i ojczyzny.* ***Tegoroczną pielgrzymkę odbywacie państwo pod hasłem „Jesteśmy nadzieją”. (…) Jesteście państwo nie tylko nadzieją, ale także opoką, na której wznosi się gmach wiary, patriotyzmu i polskości.***

Jarosław Kaczyński, list do uczestników XXXIV Pielgrzymki Radia Maryja, Jasna Góra, 13 lipca

KLECHA

SŁOWO CZERWONE

Nowa epidemia

Polityczne paliwo prawicy

Problem rasizmu to problem kultury. Rasistą jest człowiek bezmyślny. Agresywny sekciarz. Cham. Ludziom, którzy uważają się za coś wyższego, niż są i niż na to zasługują, rasizm jest potrzebny, jako mechanizm dominacji i samowyniesienia. Jako trampolina, która wyrzuci ich w górę. Ciemny poszukuje jeszcze ciemniejszego, by dowieść, że sam nie jest najciemniejszy. Szuka gorszego, ponieważ chce się pokazać lepszym. Musi kimś gardzić, gdyż to daje mu poczucie wyższości, pozwala zapomnieć, że on sam jest marnością.

Ryszard Kapuściński

Zachorowaliśmy na nienawiść, strach i pogardę. Zostaliśmy zainfekowani przez polityków i media prawicowe, którzy z tej infekcji zrobili sobie paliwo polityczne. Im bardziej się boimy wędrówki ludów, tym chętniej głosujemy na polityków głoszących rasistowskie poglądy. Są jak mafia. Najpierw straszą, a potem oferują ochronę.

Oczywiście Afrykanin czy muzułmanin płacący kartą American Express są wciąż mile widziani. Nie chcemy tu tylko biednych cudzoziemców. Muzułmańskie dudki góralom nie śmierdzą.

Ludzie migrują głównie za chlebem. Najpierw wyjeżdża mężczyzna. Łapie jakąś robotę i wysyła do domu pieniądze. Kiedy się już jako tako urządzi, sprowadza rodzinę. Tak robili Polacy migrujący do Wielkiej Brytanii. Tak robią uchodźcy z krajów globalnego Południa. Tylko z tego, że postępują tak jak my, robi im się zarzut.

Proces straszenia rozpoczął sam prezes Kaczyński, twierdząc, że uchodźcy przenoszą choroby. Tymczasem nigdzie w Europie nie stwierdzono żadnej epidemii, masowych zachorowań, które można by przypisać imigracji.

Zarzuca się przybyszom większą skłonność do przemocy, przestępczości. Jednak statystyki policyjne wykazują, że cudzoziemiec popełnia w Polsce mniej przestępstw niż Polak. Rośnie za to liczba napaści na obcokrajowców na tle rasowym.

Czy to znaczy, że powinniśmy się otworzyć jak Niemcy na masową imigrację? Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy na to przygotowani. A nastroje są takie, że żadnemu cudzoziemcowi bym Polski nie polecał. Bo zamiast tradycyjnej polskiej gościnności łatwo mu będzie się nadziać na biegające z widłami/bejsbolami „patrole obywatelskie”.

Napływ nielegalnych imigrantów został znacząco zahamowany. Jednak zaplecze biznesowe zarówno PO, jak i PiS-u sprowadza ludzi jako tanią siłę roboczą kanałami oficjalnymi. Na Filipinach polska wiza wciąż kosztuje 2 tys. zł, a pracodawcy bardzo sobie chwalą Filipińczyków jako lojalnych i gorliwych pracowników. Inaczej mówiąc, skłonnych pracować za dużo mniej niż Polacy, nieżądających niczego poza pryczą w zbiorowej sali do spania. Biznes chwali też Kolumbijczyków, których jest już u nas ok. 100 tys., jako zdyscyplinowaną siłę roboczą.

Masowa imigracja zarobkowa ma się więc dobrze. Bo firmy świetnie na ich wyzysku zarabiają. Gdybyśmy chcieli spełnić oczekiwania Unii Europejskiej, każdy cudzoziemiec pracujący w Polsce powinien mieć umowę o pracę, czyli zarabiać co najmniej 1 tys. euro brutto.

Nie byłoby już obawy, że godząc się na niższą płacę, zabiera pracę Polakom. Ale to wymagałoby likwidacji patologicznych form zatrudnienia dla Polaków. A tego rząd nie chce.

Imigrantom zarzuca się, że są rezerwową armią pracy, która osłabia pozycję na rynku naszych pracowników. I jest w tym dużo racji. Gdyby nie fakt, że jednocześnie oskarża się ich o to, że przyjeżdżają nie do pracy, tylko po zasiłki. Oba zarzuty jednocześnie słuszne być nie mogą. Nie mówiąc o tym, że Polska to nie Dania. Tu zasiłki są niezwykle skromne.

Pozostaje jeszcze kwestia, czy w ogóle Polska potrzebuje tej dodatkowej siły roboczej. Aleksander Kwaśniewski oświadczył niedawno, że bez imigracji europejska gospodarka skona. Ale on zawsze trzymał z biznesem, który nie tak łatwo zrezygnuje ze sprowadzania niewolników.

Debata na temat, ilu i jakich pracowników z zewnątrz polska gospodarka potrzebuje, jest więc otwarta. Jednak kampania przeciw „obcym” okalecza psychikę narodu. Po dziesięcioleciach otwartości na innych stajemy się ksenofobami, okrutnikami, rasistami. I to szkodzi nam samym. Bo stajemy się coraz gorsi. Jako patriota uważam, że powinna nas łączyć miłość do Ojczyzny, a nie nienawiść do nie-Polaków.

Rzeczpospolita była wielka, kiedy była wielonarodowa i wielokulturowa. Polska narodowo-katolicka się skurczyła. A i ta nasza religijność staje się swym zaprzeczeniem, kiedy klechy grzmią z ambon, że miłosierdzie, o którym mówią święte księgi, nie stosuje się do obcych.

PIOTR IKONOWICZ

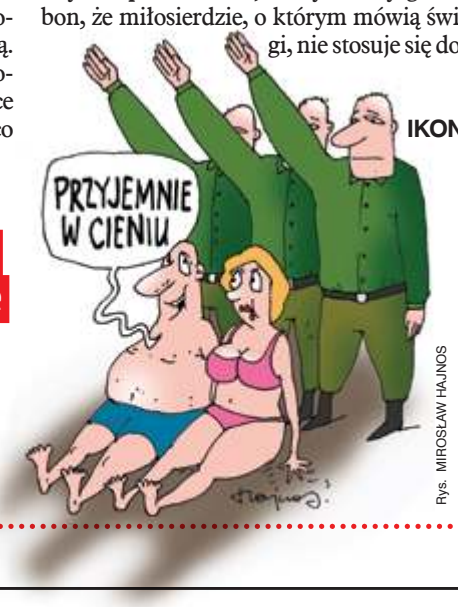

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 2cbfbc2498

Po prostu: równość i inwestycje

A mogło być jeszcze lepiej

PO i PSL utraciły władzę w 2015 r., bo zapomniały o ogromnej części Polaków. Od 1990 r. do dziś dochód PKB liczony na jednego obywatela wzrósł trzykrotnie. Ale neoliberalna, elitarna polityka (w tym także polityka SLD) spowodowała, że niektórym dochody te nie wzrosły nawet o połowę, podczas gdy wielu innym wzrosły nawet kilkudziesięciokrotnie. Jednocześnie przez wszystkie te lata kurczyła się sfera publiczna, czyli dostęp osób mniej zamożnych do koniecznych dla utrzymania przyzwoitej jakości życia dóbr i usług: postępowała prywatyzacja zasobów mieszkaniowych, zmniejszał się dostęp do publicznej opieki zdrowotnej, spadała jakość szkół publicznych oraz zamierał transport publiczny poza wielkimi miastami. Trudno się dziwić, że ogromna liczba mniej zamożnych obywateli wkurzyła się i w każdych kolejnych wyborach coraz silniej wspierała opozycję. Szukali, a kto szuka, ten znajdzie, więc znaleźli polityczną alternatywę, choć niekoniecznie polityczne rozwiązanie, jakim jest odejście od neoliberalnej polityki. Wobec braku skompromitowanej wcześniej neoliberalną polityką millerowskiej lewicy ostatecznie padło na także nielewicowy PiS i hiperneoliberalną Konfederację.

Oczywiście do upadku platformerskiej polityki przyczyniła się sztuczna mgła kulturowa, wytwarzana przez konserwatywne odłamy polityki i Kościół katolicki, ale zasadniczym powodem ich upadku była fatalna neoliberalna polityka ekonomiczna i społeczna. Trzeba przyznać, że

dynamiczny wzrost PKB Polski w ostatnim 20-leciu mógł być obfitszy i mógł przełożyć się na zadowolenie większości obywateli – większą spójność społeczną. Nie byłoby wówczas tak radykalnych powodów do polsko-polskiej wojny kulturowej i obecnie wątpliwych, ze względu na jakość naszych polityków, perspektyw rozwojowych.

Nie sposób wymienić (a nawet zidentyfikować) wszystkich koniecznych zmian, które prowadziłyby do polepszenia sytuacji Polski i Polaków. Ale chcę Wam dziś opowiedzieć bajkę, która wskazuje na dwie może najważniejsze na obecnym etapie potrzeby naszego kraju. Pierwszą jest egalitarna – zrównująca – polityka społeczna i ekonomiczna. Bez tego klęska jest murowana. Tylko polityka polepszająca sytuację mniej zamożnej i biednej części społeczeństwa pozwoli nam na uspokojenie nastrojów społecznych. I nie chodzi o żadne rozdawnictwo, tylko o rzetelny rozwój usług publicznych i wsparcie ekonomiczne bardziej do tej pory zaniedbywanych regionów Polski.

Konieczne jest stworzenie szans rozwoju dla wszystkich tych, którzy do tej pory nie byli beneficjentami systemu. Oczywiście wiele warunków trzeba spełnić, aby mogło to stawać się rzeczywistością, ale pierwszym z nich jest odejście od neoliberalnej ideologii i wynikającej z niej polityki. Jeśli ktoś tylko mgliście orientuje się, o co chodzi z tym neoliberalizmem, który często w swoich tekstach przywołuję, to gorąco polecam wydaną przez Krytykę Polityczną książkę George'a Monbiota i Petera Hutchisona „Niewidzialna doktryna – tajna historia neoliberalizmu i tego, jak przejął kontrolę nad Twoim życiem". W dostępnych zwykłemu czytelnikowi słowach książka przejrzyście opisuje mechanizm działania neoliberalnej ideologii prowadzącej nasz świat do globalnej katastrofy, ale także rysuje nadzieję na jego ocalenie.

Drugą ważną potrzebą naszego kraju, o której dalej będę snuła dzisiejszą bajkę, jest mit – stereotyp podtrzymywany przez tzw. ekspertów ekonomicznych, piewców neoliberalnej ideologii. Dotyczy on także tezy, którą postawiłam w tym felietonie, że mogliśmy i nadal możemy rozwijać się szybciej. Chodzi o wpajane nam fałszywe przekonanie, że zadłużanie państwa prowadzi wprost i nieuchronnie do ekonomicznej klęski. Wbito nam to do głów. Kiedy ktoś mówi o konieczności poniesienia wydatków na jakiś społeczny czy gospodarczy cel, zewsząd słyszymy krzyk, że nie ma pieniędzy. Najczęściej to nieprawda albo nie cała prawda. Wielu znakomitych naukowców ekonomistów (a nie sługusów neoliberalnej ideologii), takich jak choćby uczestnicy Polskiej Sieci Ekonomii, ekonomiści z London School of Economics czy pracujący w Waszyngtonie prof. Marcin Piątkowski, twiedzi, że nie należy ulegać złudzeniu, iż na nic nie ma pieniędzy i że trzeba zaciskać pasa. Jest wręcz przeciwnie: należy inwestować w służbę zdrowia, w naukę i w infrastrukturę oraz nowoczesne technologie – w przyszłość. Wmawia się nam niejednokrotnie, że wydatki na powszechną dostępną dla każdego opiekę zdrowotną to koszt. Jest jednak dowiedzione i oczywiste, że to korzystna dla całego systemu inwestycja.

Neoliberalnym ideologom łatwo przyszło wmówić nam, że w gospodarce jest podobnie jak z domowym budżetem, bo znamy ten stan z własnego doświadczenia: jeśli widzimy, że zabraknie nam do pierwszego, to trzeba zaciskać pasa. Tymczasem w gospodarce można i należy postąpić inaczej: jeśli chcemy się rozwijać i wychodzić z problemów, to mądrze inwestujmy. To nie jest tak, że istnieje tylko ograniczona pula pieniędzy. Pieniędzy na świecie jest tyle, ile nam potrzeba, bo pieniądze, jak wielu z nas już doskonale wie, powstają ex nihilo, czyli z niczego: po prostu z długu. Podpisując umowę kredytową, stwarzacie z bankiem nowy pieniądz. Każdy nowy kredyt to nowy pieniądz. A więc w gospodarce inwestujmy z kredytu w to, co przyniesie nam korzyść. Natomiast inwestycja w luksusowe dobra przynosi ogółowi tylko stratę. Jedynie kryterium, czy warto w to inwestować, powinno nas ograniczać.

Rys. JANUARY

Oczywiście w świecie neoliberalnym musimy się liczyć z kosztem kredytu. W innym systemie wcale nie musiałoby tak być. Ale jeśli jesteśmy pewni, że konkretna pożyczka pozwala nam rozwijać się i rosnąć, to czemu jej unikać? Jeżeli, dla przykładu, uznamy, że opłaca się Polsce zainwestować w kilka elektrowni jądrowych, w badania podstawowe nad genetyką, w profilaktykę i opiekę zdrowotną albo we własną AI, to zróbmy to. Oszacujmy jedynie, że spodziewane zyski z inwestycji przewyższą koszty, a skala rozwoju pohamuje groźbę inflacji. Profesor Marcin Piątkowski w mediach społecznościowych sugeruje: „Warto byłoby pójść za ciosem i dojść do 20% PKB do końca kadencji i do 22% PKB (czyli średniej UE), do 2030 r.".

Tymczasem neoliberalna głupota naszych polityków obu politycznych opcji powoduje, że stopa polskich inwestycji mierzona jako udział inwestycji w PKB od 2015 r. spada. Co powoduje, że udział inwestycji w tworzeniu PKB jest wyraźnie niższy od średniej unijnej. W 2024 r. w Polsce wyniósł on tylko 16,9 proc. wobec średniej unijnej 21,2 proc. Stopa naszych inwestycji prywatnych od ponad 20 lat należy do najniższej w UE i wynosi tylko ok. 70 proc. średniej unijnej. Z najnowszego raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że owszem, biznes prywatny inwestuje w zakup maszyn i urządzeń, ale jednak głównie w zakup i wymianę samochodów. Najrzadziej jednak inwestuje w narzędzia wykorzystujące AI, automatyzację i robotyzację oraz bardzo mało w badania i rozwój.

Podobno lepiej z mądrym zgubić jak z głupim znaleźć. Zapomnijmy zatem na chwilę o naszych neoliberalnych głupcach i pozostańmy w świecie bajek. Warto wierzyć, że kiedyś nasza bajka stanie się rzeczywistością.

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

● Donald Tusk zapowiedział repolonizację gospodarki. Polskie firmy w polskich rękach, kapitał narodowy, suwerenność ekonomiczna. Pewnie dlatego czeski fundusz Jet Investment przejął właśnie Plastiwell International – firmę, która od dwóch dekad produkuje komponenty z tworzyw sztucznych w trzech polskich miastach: Myślenicach, Tarnowie i Bydgoszczy. Zakład zatrudnia ponad 1 tys. osób, a w 2024 r. wypracował przychody rzędu 100 mln euro. Biuro Jet Investment w Warszawie już działa, a w portfelu funduszu są inne polskie firmy: Rockfin z sektora energetycznego i Eurodruk-Poznań z branży poligraficznej. A to przecież dopiero początek – czeski fundusz ma ponad 100 mln euro na kolejne zakupy. Prezes i dotychczasowy właściciel polskiej, choć obco brzmiącej firmy Plastiwell International, Marcin Wysocki, nie zniknie z firmy – zostaje z mniejszościowym pakietem udziałów. Twierdzi, że współpraca z Czechami to szansa na rozwój, ekspansję i kolejne przejęcia. Tyle że pod flagą czeską.

● Ważne, że nie niemiecką. Ta zaś powiewa coraz słabiej. Makro Cash and Carry, firma zza Odry znana każdemu hurtowemu zakupowiczowi od 1994 r., ogłosiła właśnie, że do końca września 2025 r. zamknie cztery swoje hale – w Rybniku, Zabrzu, Toruniu i Słupsku. 400 osób straci robotę, a opinia publiczna, jak zwykle, podzieliła się na tych, co się martwią o los pracowników, i tych, co pytają: „Czyli kto to teraz kupi?". Jeśli będzie to polska firma, rząd będzie mógł ogłosić, że repolonizacja działa. Tyle że nie przez państwowe przejęcia, tylko przez to, że globalne korpo uciekają stąd. I gdy z kalkulacji wychodzi im, że w Polsce się nie opłaca, to pakują walizki.

● Skoro Tusk mówił, że „kapitał ma narodowość", a interesy powinny mieć „biało-czerwone barwy", to dlaczego w Wiechlicach pod Szprotawą, na terenie dawnego radzieckiego lotniska, wbito pierwsze łopaty pod największy zakład koncernu Kingfa w Europie? Pewnie dlatego, że Chińczycy nie tylko zapłacili 11 mln zł za 14 hektarów działki, ale jeszcze obiecali 500 miejsc pracy i produkcję 300 tys. ton ekologicznego granulatu rocznie. Kingfa to światowy lider w dziedzinie biodegradowalnych tworzyw sztucznych. Produkują rzeczy, z których potem Mercedesy, Bosche i Siemensy montują swoje cuda techniki. Kingfa nie zaczyna od zera. W Polsce działa już z maseczkami i rękawiczkami medycznymi. Zna realia i wie, że biurokracja jak w Chinach, podatki jak w Europie, ale pracownicy jeszcze się starają. No i rząd poza gadaniem o repolonizacji – nie przeszkadza.

● Jeszcze nie skończyliśmy budować sieci szybkich dróg, a już się okazuje, że te, które są, nie dają rady. Według najnowszego raportu GDDKiA natężenie ruchu w 2024 r. znowu poszło w górę. Na autostradach i trasach ekspresowych samochodów przybyło o 2,7 proc. Na pozostałych krajówkach – o 2,1 proc. Ale to tylko średnia. Bo są miejsca, gdzie trzeba by było mieć skrzydła, żeby się przemieścić. Na przykład trasa S7 pod Warszawą. Liczba aut na dobę wzrosła tam o 55 tys. względem połowy poprzedniej dekady. W Krakowie między węzłami A4 Kraków Południe i Niepołomice – o 30–40 tys. Na S6 w Gdańsku – skok o 32 tys., czyli 84 proc. więcej. Czasami wygląda to tak, jakby każdy Polak z prawem jazdy postanowił akurat tamtędy przejechać. Tymczasem rozwiązania systemowego brak. Polityki komunikacyjnej, która przeniosłaby ludzi z samochodów do pociągów, też brak. Efekt? Piątki stały się najgorszym dniem na podróż. Przeciążenie ruchu przekracza średnią dobową o 13 proc. W wakacje samochodów na trasach przybywa aż o jedną trzecią. Oczywiście coś tam się robi. Rozbudowa A2 między Warszawą a Łodzią dostała właśnie zgody administracyjne, a odcinek A1 pomiędzy Toruniem a Włocławkiem szykuje się na przyjęcie ciężaru z S10. Planuje się też rozbudowę A4 z Legnicy do Wrocławia i dalej w kierunku Katowic. Tyle że główne roboty budowlane ruszą dopiero na początku następnej dekady. Czyli wtedy, gdy obecni przedszkolacy zdobędą prawo jazdy.

● Nie wiemy, co ministrowie jedzą, piją i wąchają, ale rząd ma wizję. Gigantyczną. Centralny Port Komunikacyjny ma połączyć Polaków szybciej niż internet światłowodo-

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 2cbfbc2498

ZUS nie zawali się z powodu braku pieniędzy

Emerytury – cud, mit czy kit?

Zawsze, kiedy słyszę polityków albo różnej maści urzędników, którzy z kamienną twarzą zapewniają, że coś nie może się stać, że „nie oddamy nawet guzika", że „socjalizmu będziemy bronić jak niepodległości", zapala mi się czerwona lampka. Bo wiem, czym takie deklaracje zazwyczaj się kończyły. Katastrofą, która spadała z nieba jak bomba, chociaż przez całe miesiące mówiono, że niebo jest bezchmurne.

Dlatego ilekroć patrzę dziś na Zakład Ubezpieczeń Społecznych, to serce mi nie tyle rośnie, co dziwnie pulsuje z niepokojem. Przypominam sobie wypowiedzi poprzedniej prezes pani prof. Gertrudy Uścińskiej, która z absolutnym spokojem oświadczyła, że ZUS to najlepszy system zabezpieczenia na starość, jaki istnieje. Obecny prezes pan Zbigniew Derdziuk marszczy brwi, patrzy prosto w obiektyw kamery i z pełną powagą mówi: „ZUS nie zbankrutuje".

Gdzie się podziały tamte składki?

Młodsi pewnie nawet nie słyszeli, że ZUS już kiedyś zbankrutował. Precyzyjniej: ujawnił swoją prawdziwą naturę, choć nikt nie nazwał tego po imieniu. Nie tyle cenzura ukrywała prawdę, co przesłaniała ją zbiorowa nieświadomość. Brak wiedzy.

Lata 80. i 90., socjalizm umiera na stojąco. Kapitalizm rodzi się w bólach, z protezą zamiast planu. Tysiące zakładów przemysłowych gasły jak latarnie po przerwaniu zasilania. Miliony ludzi traciły pracę, dochód i sens. A nowa władza – ta od okrągłego stołu i nowoczesnych pomysłów – oznajmiła, że nie ma problemu. Wprowadzono wcześniejsze emerytury – nawet od 50. roku życia. Kombinowano z rentami, świadczeniami pomostowymi, pseudozasiłkami, byle jakoś zamieść kryzys pod dywan. W międzyczasie Jacek Kuroń (minister w swetrze) wymyślił zupę, bo system nie miał już nic innego do zaoferowania poza talerzem czegoś ciepłego.

Nagle pewnego dnia miliony tych, którzy przez dziesięciolecia odprowadzali składki, dowiedziały się, że ich pieniędzy po prostu nie ma.

Jak to: nie ma?! Gdzie są?! Co się z nimi stało?! Coście z nimi zrobili?! Zwolnieni z hut, z kopalń, z przemysłowych molochów okupowali telewizję, domagali się wyjaśnień, które nigdy nie nadeszły. Kamery pokazywały ich twarze. Zdezorientowane, wściekłe, złamane – jakby właśnie się dowiedzieli, że życie, które przeżyli, było żartem systemu. Widziałem to na własne oczy. Byłem przy tym.

Dziura, dodruk, zupa

ZUS zbankrutował wtedy w sensie technicznym. Okazało się, iż przemysł, którego już nie ma, nie odprowadza składek, więc nie ma też świadczeń. Nie ma wpłat – nie ma wypłat.

Ówcześni premierzy – a było ich w trzy lata aż trzech: Mazowiecki, Bielecki, Olszewski – nie kryli zaskoczenia. To naprawdę tak działa? To się nie bilansuje? To nie perpetuum mobile? Prezydent Wałęsa, który zasadniczo zajmował się grą w ping-ponga, w przerwach meczów wysłuchiwał przestrogi: „Panie Lechu, system się sypie". „To go potrząśnijcie!" – doradzał w całej swej elokwencji.

Dziurę w cash flow łatano dodrukiem gotówki. Bo trzeba było jakoś zapłacić ludziom, których Solidarność porzuciła na polu bitwy o reformy. Mieli dostać lepsze jutro, a dostali zupę Kuronia i najtańszy pasztet drobiowy z etykietą „dla ubogich".

Pojawił się Balcerowicz – jak zjawisko ekonomiczne. Zapewniał, że magiczna ręka wolnego rynku wszystko wyrówna. Trzeba tylko poczekać. Zacisnąć zęby. Czekano. Matka natura pomogła w bilansie – ludzie umierali.

Wtedy właśnie ZUS – bez fanfar, bez konferencji, bez aktu zgonu – pokazał, czym jest naprawdę: ruchem pieniędzy w systemie, który się właśnie zatrzymał.

Chilijskie fiasko Balcerowicza

Potem nastał Balcerowicz w pełnym wymiarze. Uznał, że tak, jak jest, być nie musi. Zaimportował z Chile system ubezpieczeń społecznych, który już dziś dobitnie świadczy, że pan wicepremier nie do końca rozumiał zasady wolnego rynku, mimo że był ich gorącym orędownikiem. Miłość – jak wiadomo – bywa ślepa. Przez kilkanaście lat Polska stopniowo odchodziła od systemu repartycyjnego – opartego na bieżących składkach i świadczeniach – w stronę pozornego systemu kapitałowego, który opierał się na indywidualnych kontach i obietnicy, że twoje składki pracują. Prawdziwa skala tej iluzji ujawniła się, gdy przyszło do wypłaty pierwszych emerytur z nowego systemu. Kwota? 20 zł. Tyle wyniosła emerytura wygenerowana przez to „dzieło" Balcerowicza.

System w stylu chilijskim zbankrutował – podobnie jak jego południowoamerykański pierwowzór. Państwo musiało przejąć zobowiązania, a całe konstrukcje OFE i kont kapitałowych zostały w praktyce wycofane lub wchłonięte przez ZUS.

Dziś mamy do czynienia z paradoksem: ZUS wygląda niemal dokładnie tak jak za czasów PRL. Ponownie mamy centralny system rozdzielający pieniądze, brak realnego kapitału i pełną zależność od bieżących wpływów oraz budżetu państwa. Zmieniły się tylko hasła – mechanizm pozostał ten sam.

Fusy w FUS-ie

Zakład Ubezpieczeń Społecznych zarządza tzw. FUS-em, czyli Funduszem Ubezpieczeń Społecznych. W teorii to centralny skarbiec polskiego systemu emerytalnego. W praktyce FUS jest po prostu numerem konta bankowego w Banku Gospodarstwa Krajowego, przez które pieniądze przepływają, ale nigdy się nie gromadzą. To konto nie tylko nie jest pełne – ono jest permanentnie puste.

Rys. WIDGET

Twarde liczby: w 2022 r. budżet państwa musiał dołożyć do FUS 38,66 mld zł, w 2023 – już 51,65 mld zł, w 2024 – 64,7 mld zł, a według prognoz w 2029 r. deficyt osiągnie 115 mld zł. To oznacza, że system sam się nie utrzymuje. Bez stałych dotacji z budżetu państwa po prostu przestałby wypłacać świadczenia.

Co więcej, fundusz nie posiada żadnej realnej rezerwy. Nie ma odłożonych pieniędzy na czarną godzinę, nie ma bufora ani zapasów. Każda wypłata jest możliwa tylko dlatego, że co miesiąc wpływają nowe składki i nowe dotacje z budżetu. Jeśli któryś z tych strumieni zawiedzie, system przestaje działać. To konstrukcja oparta na ciągłym ruchu, jak jazda na rowerze: jeśli się zatrzymasz, przewracasz się.

60 dni do katastrofy

To oczywiście prawda – jak twierdzą niektórzy ekonomiści z tytułami – że państwo zawsze będzie dopłacać z podatków do emerytur. Tak po prostu działa system repartycyjny. Ale życie pisze inne scenariusze. I są sytuacje, które mogą rozwalić ten system całkowicie – w 60 dni.

Wyobraźcie sobie, co się dzieje, gdy 8 mln ludzi stwierdza 5., 15. albo 20. dnia miesiąca, że przelew z ZUS nie przyszedł. I tak przez dwa miesiące z rzędu. W warunkach polskich to nie opóźnienie, to eksplozja społeczna. A jak to się może wydarzyć?

Wcale nie potrzeba kataklizmu. Wystarczy przedłużający się kryzys parlamentarny, jakich coraz więcej w czasach Hołowni, Morawieckiego czy Brauna. Sejm nie uchwala nowelizacji ustawy budżetowej. Dotacje do FUS-u bez nowej ustawy są nielegalne. Minister finansów nie może dołożyć pieniędzy, bo złamałby prawo. Rower staje.

Bunt pieczątek

Wewnątrz samego ZUS-u dojrzewa ferment, o którym nikt głośno nie mówi. Pracownicy, w przeważającej większości kobiety, od lat pracują pod presją, w systemie elektronicznym, którego nie rozumieją, a ten odbiera im sprawczość i sens pracy. Coraz częściej zadają sobie pytanie: „Czy ja tu jeszcze jestem urzędniczką, czy tylko pieczątką w rękach algorytmu?". I teraz na przykład pojawia się jedna osoba – Anna Walentynowicz ZUS-u. Kobieta, której naubliżała sztuczna inteligencja, wdrażana jako „asystent decyzji". Popełnia samobójstwo w służbowej toalecie. Wywołuje poruszenie, bunt moralny, potem strajk. System wypłat staje, bo nikt nie chce podpisywać decyzji wygenerowanych przez maszynę.

Na zewnątrz systemu nie jest lepiej. Składki ZUS są już dziś na granicy absurdu. W ciągu ostatnich trzech lat wyrejestrowano około 700 tys. działalności gospodarczych – wielu przedsiębiorców po prostu nie było stać na dalsze płacenie. To ludzie poza systemem. I teraz wyobraźmy sobie, że Ministerstwo Finansów w swojej twórczej gorliwości postanawia jeszcze bardziej podnieść składki. Co robi pokolenie Z i alfa? Jej członkowie zakładają działalności bez rejestracji, przechodzą na kryptowaluty, znikają.

ZUS działa dziś tylko dlatego, że 90 proc. płatników płaci bez zająknięcia i w terminie. Nie ma szybkiego mechanizmu windykacji. A co, jeśli nagle płaci tylko 40 proc? Jesteśmy w czarnej dziurze.

Błąd w algorytmie rzeczywistości

Do tego wystarczy dodać jeden z pozornie drugorzędnych czynników: awarię techniczną, błąd w systemie bankowym, cyberatak, sankcję międzynarodową. ZUS nie przechowuje pieniędzy – działa przez konta w BGK. Wystarczy, że rachunki zostaną czasowo zamrożone, a system rozliczeniowy przestanie działać. Nie można fizycznie wykonać przelewów. Kasa jest, ale nie do ruszenia. Ludzie nie dostają nic.

Wreszcie ostatnia, najbardziej współczesna i realna groźba: konflikt algorytmiczny. ZUS coraz bardziej opiera się na zautomatyzowanych decyzjach. PUE, automatyczne wyliczenia, wnioski online. Wystarczy jedna aktualizacja algorytmu, która nie zgadza się z nowelizacją ustawy. Decyzje są generowane błędnie. Wnioski są rozpatrywane źle. System nie wie, co robi. A nikt nie potrafi go już ręcznie zatrzymać ani ręcznie pobudzić. Wyobraźmy sobie, że 8 mln przelewów miesięcznie w przypadku awarii systemu musieliby wysłać ludzie…

Okazuje się, że system ZUS nie istnieje naprawdę. Jest tylko zbiorem danych, sprzecznych aktów prawnych i niedomagającym software'em. Iluzją, która działała tylko dlatego, że nikt jej nie testował w warunkach stresu.

Onet nie napisał

ZUS raczej nie upadnie z powodu braku pieniędzy. ZUS może upaść z powodu wewnętrznego błędu. Ludzkiego lub systemowego. Z powodu ciszy w sejmie. Z powodu kobiety w łazience. Z powodu jednego przycisku, który nie zadziała. I wtedy nie będzie żadnej emerytury. Bo nie będzie kto, z czego ani jak.

Zastanawia mnie, jak to możliwe, że władza nie dostrzega problemu, który wisi nad państwem jak cień. W debacie prezydenckiej punktem zapalnym okazało się to, że 2 tys. dzieci zaraziło się smartfonowymi wirusami, oszalało i teraz nie może dostać się do psychiatry dziecięcego w Warszawie. To, owszem, poważny problem. Ale fakt, że narodowy system ubezpieczeń społecznych ma raka, już nikogo nie rusza.

Może dlatego, że Onet – zasilany reklamami z ZUS-u – jeszcze o tym nie napisał. A skoro temat nie pojawił się na jego paskach, to kandydaci na prezydenta najpewniej po prostu o sprawie nie wiedzieli.

ROBERT JARUGA

wy. Pociągi mają mknąć 300 km/h, pasażerowie mają się przesiadać z aut do wagonów, a kraj ma ruszyć z kopyta. Według wizji w 2030 r. pociągami w Polsce podróżować ma 510 mln osób. Pięć lat później – już 556 mln, a do 2060 r. 632 mln. Entuzjazm opowiadających był tak wielki, że chyba zapomnieli sprawdzić ceny biletów. Bo dziś przejazd Pendolino z Warszawy do Krakowa kosztuje drożej, niż przelot do Sewilli. W Hiszpanii. Samolotem. Ale przecież będzie może drogo, ale pięknie. W 2032 r. otwarcie pierwszego odcinka Kolei Dużych Prędkości: Warszawa – CPK – Łódź. Lotnisko w Baranowie za 131,7 mld zł ma obsługiwać 34 mln pasażerów. I ma być „elastycznie rozbudowywane". Tymczasem dziś nawet najzwyklejszy pociąg nie potrafi dojechać na czas z Radomia do stolicy. Kto przesiądzie się do superszybkiego pociągu za kilka stów, skoro własnym samochodem, dotrze wszędzie taniej, a często i szybciej? Koleje mają mieć 123 mln pasażerów w 2060 r. Ale jeśli ceny biletów będą takie jak teraz, to nawet najbardziej zatwardziały ekolog w końcu pomyśli o portfelu i wróci do diesla.

● Skoro ekologia, to jak nie wspomnieć o tym, że resort ministry Pauliny Hennig-Kloski zabrał się za program „Czyste Powietrze". Mógł nic nie robić, bo program działał, ale wtedy nie zarobiliby audytorzy energetyczni ani urzędnicy rozdający dotacje według bliżej nieznanych kryteriów. No i nie byłoby kogo oskarżyć o „nieprawidłowości". Bo z końcem marca, po czterech miesiącach przerwy, wystartowała nowa odsłona „Czystego Powietrza". Miało być lepiej, przejrzyściej i sprawiedliwiej. Efekty? Tylko 14 tys. kompletnych wniosków i podpisane umowy na 100 mln zł. Siedem razy mniej niż rok wcześniej. Wiceminister Robert Gajda uznał, że to nie zapaść, tylko „jakość". Chodziło mu o jakość życia audytorów, bo każdy wniosek musi być teraz podparty kosztownym audytem energetycznym? Na audyt trzeba czekać nawet dwa miesiące. Trzeba mieć też świadectwo charakterystyki energetycznej po remoncie, z czego można wnioskować, że resortowi chodzi głównie o to, żeby kasa płynęła do odpowiednich kieszeni. Dotacji już nie dostanie każdy. Trzeba być właścicielem domu od trzech lat, mieć pełną dokumentację i najlepiej znać operatora, który poprowadzi inwestycję za rękę. Takich operatorów resort ma już ponad 1200. Gdyby ktoś pytał, co na to wszystko Unia, to Unia chciała, żeby Polacy oszczędzali energię i zmniejszali emisje. Ale zamiast tego mamy system, w którym kto nie ma na audyt, ten może sobie dom dogrzewać świecami. Taniej, prościej i jakże ekologicznie.

● Widząc jak rośnie i rozkwita Polska, Polacy tłumnie rzucili się do PPK, IKE i IKZE. Nie po to, żeby się do nich zapisać. Rzucili się do wypłacania z tych funduszy. W zeszłym roku wyciągnięto z tych systemów ponad 2,5 mld zł. W ciągu dwóch lat – ponad 4,5 mld. Rząd mówi, że to jednostki się niecierpliwią. KNF sugeruje, że zwroty to efekt braku edukacji. Naród zaś woli zabrać swoje, zanim znowu przyjdzie ktoś z ustawą. Oczywiście, władza nie mówi, że zrobi zamach na konta tak jak na OFE. Tymczasem w okolicach władzy pojawił się pomysł ograniczenia wypłat, albo „przekierowania środków na bardziej efektywne filary". I dla ludzi pachnie to niefajnie. Rząd nie dementuje, tylko promuje aplikacje. Emerytura przez mObywatela. Klikasz, potwierdzasz, wychodzisz – z pieniędzmi w kieszeni. Bo jedyna pewna emerytura to ta, którą masz w gotówce. Albo przynajmniej w funduszu, który nie nosi skrótu znanego z ustaw.

TTJ

eprasa.pl 2cbfbc2498

Przegrany „Kandydat” Żulczyka

Kłócę się z Gadem

Miesiąc temu na naszych łamach Piotr Gadzinowski wystawił mały pomnik powieści Jakuba Żulczyka „Kandydat”. Sowa bogini mądrości Minerwy wylatuje o zmierzchu – po wyborach możemy odczytać „Kandydata” w nowy sposób. Pomażę więc sprejem ten cokół.

Powieść Żulczyka może przypominać Rafała Trzaskowskiego – bardzo dużo obiecuje, ale niewiele dotrzymuje. Niby jego książki to gotowe pomysły na filmy (wszak jest też scenarzystą), akcja „Kandydata” jest na pozór wartka, język potoczysty i wszystko dzieje się błyskawicznie – ale cała para idzie w gwizdek.

Żulczyk zaczyna od wyznania: „Napisałem tę powieść, ponieważ interesuje mnie władza. Najbardziej zaś interesuje mnie pustka fikcji, którą władza generuje tylko po to, aby usankcjonować swoje istnienie”. Dobra nasza, pomyślałam, habilitacja z teorii polityki pomoże mi zrozumieć głębokie warstwy „Kandydata”, ukazane w sposób literacki, zgodnie z oświeceniową maksymą: bawić, ucząc – uczyć, bawiąc.

W końcu na łamach „Rzeczpospolitej” napisano wprost, że to powieść na miarę „Przedwiośnia” lub „Kariery Nikodema Dyzmy”. A na łamach polskiej edycji lifestylowego „Vogue’a” jakaś pani stwierdziła, że „Żulczyk rozpruwa wielki brzuch fikcyjnej Polski i zmusza nas do zerknięcia do wnętrza. Często chcemy odwrócić wzrok, odpędzać skojarzenia z otaczającą nas rzeczywistością. Mimo wszystko przewracamy kolejne kartki i wręcz namacalnie czujemy, jak oblepia nas coraz więcej brudu”…

Nawet debil zrozumie

Ja niestety jedynie dostałam bólu brzucha od czytania niespodziewanie drętwych i sztucznych dialogów i wręcz skrętu kiszek od monologów wewnętrznych głównych protagonistów – Prezydenta i Reportera. Nie wiem, może marzył się Żulczykowi jakiś współczesny „Kordian” lub „Dziady”, ale wyszedł typowo polski paździerz i rodzime dziadostwo. Miało być na bogato, ale jest prześnie, a co gorsza, im więcej jest odniesień do prawdziwych postaci i mediów, które wprost można wymienić z imienia i nazwiska, tym bardziej wszystko jawi się niczym blaga.

Wszystko tu jest łopatologiczne. Dziennikarze nazywają się Redaktor, Portal, Tygodnik i Telewizor, Carem jest Prezes Kaczyński, „Gazeta Krajowa” to „Gazeta Wyborcza”, a dla większej jasności Żulczyk na jej czele stawia Wielkiego Jąkałę (Adama Michnika).

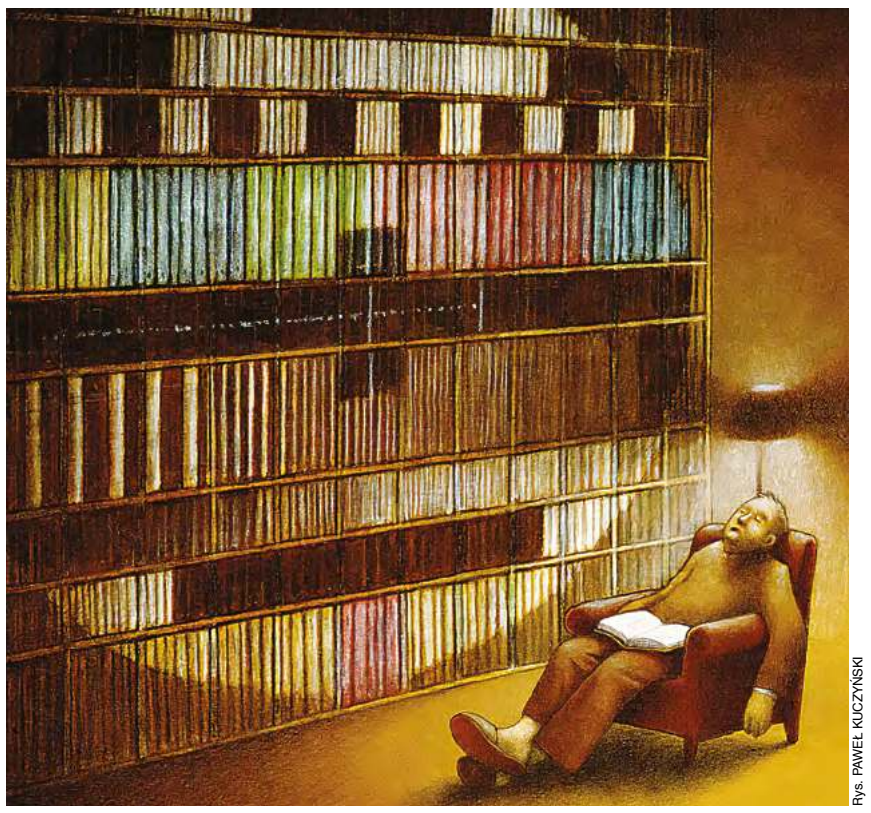

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Ja wiem, że Sąd Najwyższy orzekł, że pisarz nie złamał prawa, nazywając urzędującego prezydenta Andrzeja Dudę debilem, ale nie sądzę, że debilami są jego czytelnicy (i mam nadzieję, że autor też tak nie zakłada, choć po tej lekturze ręki nie dam sobie uciąć).

Powieść ukazała się tuż przed pierwszą turą wyborów prezydenckich i była szeroko reklamowana jako thriller polityczny – w końcu idzie o medialną bombę, jaką Reporter chce zniszczyć Prezydenta. Ale tak naprawdę to marne politykierskie fantasy. Z polityką – czyli sferą możliwości i starcia interesów dużych grup społecznych – ma tyle wspólnego, co Ryszard Kalisz z baletmistrzem. Żulczyk ślizga się wyłącznie po powierzchni zjawisk, ich naskórkowych przejawach. Obce jest mu myślenie systemowe.

Oczywiście to niegłupi facet.

W „Kandydacie” tu i ówdzie zdarzają mu się trafne diagnozy, np.: „Portal myśli, że każde miejsce, w którym pracuje, to Reuters. Myśli, że to jest wszystko naprawdę. Ma etos, zbyt wiele czasu spędził ze starymi dziadami. A może po prostu rodzice go bili. Tak czy siak, nie rozumie, że nie ma już prawdy, że pracuje wyłącznie dla kapitału, że nawet politycy pracują dla kapitału, bo wszystko jest obsługą kapitału, że działa w sektorze dymania ludzi w głowę, ubijania im mózgów na pianę z białką”…

Punkt dla Żulczyka. Ale nic za tym nie idzie. Ot, taka uwaga, która jest – i dobrze – ale zupełnie nic z niej nie wynika. A szkoda. Może autor nie pociągnął wątku, bo jako osoba służąca globalnemu kapitałowi (teraz Netflix, wcześniej HBO), też jest samoświadomy, że „działa w sektorze dymania ludzi w głowę, ubijania im mózgów na pianę z białka”? W końcu jego seriale mają przyciągnąć nowych subskrybentów lub utrzymać istniejących, aby szefom w USA zgadzały się tabelki w Excelu. Nie krytykuję, po prostu najlepszy biznes to show biznes, a polityka – jak mawia Sławomir Mentzen – to show biznes dla brzydkich ludzi.

Pamiętam, co nieodżałowany Zygmunt Kałużyński mówił o dobrych filmach (ale można to rozciągnąć na literaturę): pokazują nieprawdę, aby pokazać prawdę. Żulczyk robi poniekąd odwrotnie: pokazuje prawdę, aby pokazać nieprawdę. Tu mi się nieodmiennie przypomina nieśmiertelna satyra społeczna (a w sposób lekko zawoalowany – polityczna), jaką był reżyserowany przez Stanisława Bareję serial „Alternatywy 4”. W jednej z moich ulubionych scen gospodarz Anioł (wielki Roman Wilhelmi), wykonując poniekąd polecenie towarzysza Jana Winnickiego (zacny Janusz Gajos), mówi do mieszkańców bloku: „Nie będzie kabaretu, będzie chór!”. Z „Kandydata” też miał być kabaret, ale wyszedł chór. I to złamany.

Radocha autora, smutek czytelnika

Mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że Żulczyk doskonale się bawił, pisząc tę książkę. Ale tu sprawdza się hasło kręcących teledyski: zabawa na planie, gówno na ekranie. Książka jest dość irytująca i nieznośna. Oczywiście, nie było tu ambicji na miarę Olgi Tokarczuk, ale jakbym miała spekulować, kto powinien nakręcić ekranizację, bez wątpienia wskazałabym Patryka Vegę. Mógłby, w swoim stylu, dodać parę scen gwałtu, które nie były gwałtami, bo kobiecie koniec końców się podobało.

Żulczyk, który na promocji swoich książek zjadł zęby, padł niejako ofiarą własnych kalkulacji. Bo rzeczywistość ostatniej kampanii – jak by powiedział filozof nauki Karl R. Popper – sfalsyfikowała boleśnie jego teorię. Ta cała wielka bomba, jakiej panicznie bał się Prezydent, dziś nam się jawi jako marny kapiszon. Jakaś tam dawna obyczajówka i opłacanie państwową kasą milczenia pewnej kobiety.

A rzeczywistość mamy taką, że wszystkie brudy, jakie wyciągnięto Karolowi Nawrockiemu, nie przeszkodziły mu bynajmniej w zwycięstwie. Bo dziś wszystko da się wytłumaczyć, a jeśli ktoś bardzo chce w coś uwierzyć, to uwierzy chętnie. Luksusy na koszt podatnika? Władza ma swoje przywileje, każdy by tak robił, jakby miał możliwość. Koledzy kryminaliści, sutenerzy i hitlerowcy? Jak śpiewa punkowy Werwolf 77, „kolegów się nie wybiera, kolegów się ma”. Domniemana współpraca z alfonsami? Każdy lubi dorobić. Ustawki kibiców? Chłop musi mieć ikrę, lepiej wszak, aby innym dawał po pysku, niż by sam dostawał w mordę. Przejęcie w podejrzanych okolicznościach mieszkania staruszka alkoholika? Łebski gość, z inicjatywą, chciał pomóc człowiekowi.

Nie psując zabawy potencjalnym czytelnikom, napiszę tylko, że powieść Żulczyka kończy się melodramatycznie, smutno i tragicznie. A w Polsce nawet rzeczywiste tragedie zwykle ocierają się o tragifarsę. Prezes (przepraszam: Car) może snuć wizje zamachu w Smoleńsku (podobno komisja Macierewicza, gdyby brutalnie nie przerwano jej działań, odnalazłaby film, na którym Tusk przekazuje Putinowi dwa worki trotylu), ale katastrofa była – czego dowiedziono ponad wszelką racjonalną wątpliwość – przejawem typowo polskiej mieszanki totalnego burdelu, tumiwisizmu i ułańskiej fantazji.

O przenikliwości Żulczyka niech świadczy fakt, że po wyborach napisał w mediach społecznościowych, że „Sikorski by wygrał”, choć to właśnie szef polskiej dyplomacji rzucił tonącemu Trzaskowskiemu betonowe koło ratunkowe, zapraszając go na piwo z Mentzenem.

Na koniec coś optymistycznego: wyrażam głęboką nadzieję, że po literackiej klapie, jaką okazuje się „Kandydat”, jego autor wróci do opisywania świata alkoholików i apolitycznych gangsterów, co mu zawsze wybornie wychodziło.

KAT

Sztuka zagłady

Artwashing na Nowych Horyzontach

Podczas gdy niemal cała Polska solidarnie bije w bęben oburzenia o deprecjonowaniu przez Grzegorza Brauna historycznej prawdy o gazowaniu więźniów w obozie w Auschwitz, w kraju nad Wisłą odbywa się szereg imprez filmowych, których główny sponsor finansuje czystkę etniczną.

Nowa chujnia

Od 17 do 27 lipca we Wrocławiu odbywa się jedna z najważniejszych imprez kina artystycznego w Polsce – Nowe Horyzonty. Na otwarciu tegorocznej, 25. edycji festiwalu jego dyrektor Marcin Pieńkowski mówił: – Dzisiaj szukam też w Nowych Horyzontach człowieczeństwa. Empatii, czułości, miłości, zachwytu.

Głupio wyszło. Rada Praw Człowieka ONZ opublikowała właśnie wstępną wersję raportu specjalnego sprawozdawcy ONZ ds. terytoriów palestyńskich, z którego wynika, że

nowy sponsor tytularny Nowych Horyzontów, bank BNP Paribas, odgrywa kluczową rolę w tym, co ONZ i rozsądni ludzie określają mianem nielegalnej izraelskiej okupacji, apartheidu i ludobójstwa.

Tak zwany cywilizowany świat zdaje się jednak nie mieć z tym problemu.

Kontrowersje wokół banku narastały od kilku miesięcy. Belgijskie organizacje pozarządowe 11.11.11 i Fairifin oskarżyły BNP Paribas o nieprzestrzeganie prawa międzynarodowego w związku z inwestycjami w Elbit Systems. Elbit to największy prywatny izraelski producent broni i jeden z głównych dostawców dla izraelskiej armii. Jego sprzęt jest wykorzystywany w działaniach zbrojnych w Strefie Gazy, dron producenta brał udział m.in. w śmiertelnym ataku z kwietnia 2024 r. na pracowników organizacji humanitarnej World Central Kitchen (wśród ofiar był Polak Damian Soból).

W styczniu 2025 r. amerykański oddział BNP Paribas zainwestował 2 mln dol. w akcje firmy. Na dokładkę bank był zaangażowany w obsługę emisji izraelskich obligacji rządowych wartych ponad 7 mld dol., których celem – zgodnie z deklaracjami – było finansowanie wydatków wojennych. Według ustaleń ONZ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

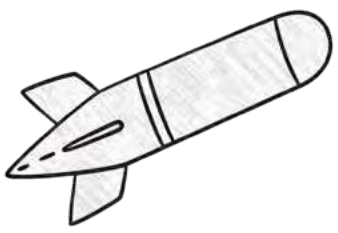

BNP Paribas udzielił również 410 mln dol. pożyczek firmie Leonardo, która dostarcza broń i samoloty izraelskiemu ministerstwu obrony. Z raportu „Don’t bank on the Bomb” (PAX, 2023 r.) wynika zaś, że BNP Paribas przez lata hojnie udzielał korzystnych kredytów firmom z sektora zbrojeniowego nie tylko izraelskiego, ale również tym zaangażowanym w uzbrojenie jądrowe. I co w związku z tym? A gówno.

Sprawiedliwi wśród banksterów

Do organizatorów festiwalu Nowe Horyzonty o zerwanie współpracy z bankiem zaapelowały działające w Polsce organizacje propalestyńskie – Kolektyw Kefija, Akademia dla Palestyny, wrocławska Solidarnościówka oraz poznańskie Students for Justice in Palestine. „Nie kwestionujemy potrzeby partnerstw i wsparcia finansowego dla instytucji kultury. Rozumiemy również, że współczesne wydarzenia artystyczne często funkcjonują w złożonym ekosystemie finansowania. Jednak kultura, która aspiruje do bycia przestrzenią refleksji i odpowiedzialności, nie może jednocześnie ignorować źródeł swojego finansowania” – napisały w oświadczeniu grupy i zwróciły się do organizatorów NH o przeprowadzenie rzetelnej oceny, czy partnerstwo z bankiem inwestującym w przemysł zbrojeniowy jest zgodne z deklarowanymi przez festiwal wartościami, a także o publiczne odniesienie się do udokumentowanych raportów odnoszących się do działalności BNP Paribas.

Organizatorzy filmowej imprezy oświadczyli, że stanowczo potępiają ludobójstwo popełnione przez izraelską armię w Strefie Gazy i wszelkie zbrodnie przeciwko ludzkości, jednak nie udzielili bezpośredniej odpowiedzi na temat powiązań swojego sponsora z izraelskim sektorem obronnym. Podczas festiwalu zamieszczono natomiast oświadczenie banku, w którym stwierdzono, że BNP Paribas nie jest zaangażowany w ten konflikt oraz że bank stosuje rygorystyczne zasady – często bardziej rygorystyczne niż prawo – i skrupulatnie przestrzega ram ustalonych przez państwa i instytucje międzynarodowe. To ciekawe, szczególnie, że w czerwcu BNP Paribas wlazł na sądową minę we Francji. Przeciwko banksterom toczy się postępowanie za naruszenie francuskiego prawa poprzez wspieranie izraelskiej okupacji i wojska, w tym subskrypcję izraelskich obligacji o wartości 8 mld dol.

Percepcja z dupy

BNP Paribas poza imprezą Nowe Horyzonty finansuje w Polsce szereg innych imprez. Są to:

eprasa.pl 2cbfbc2498

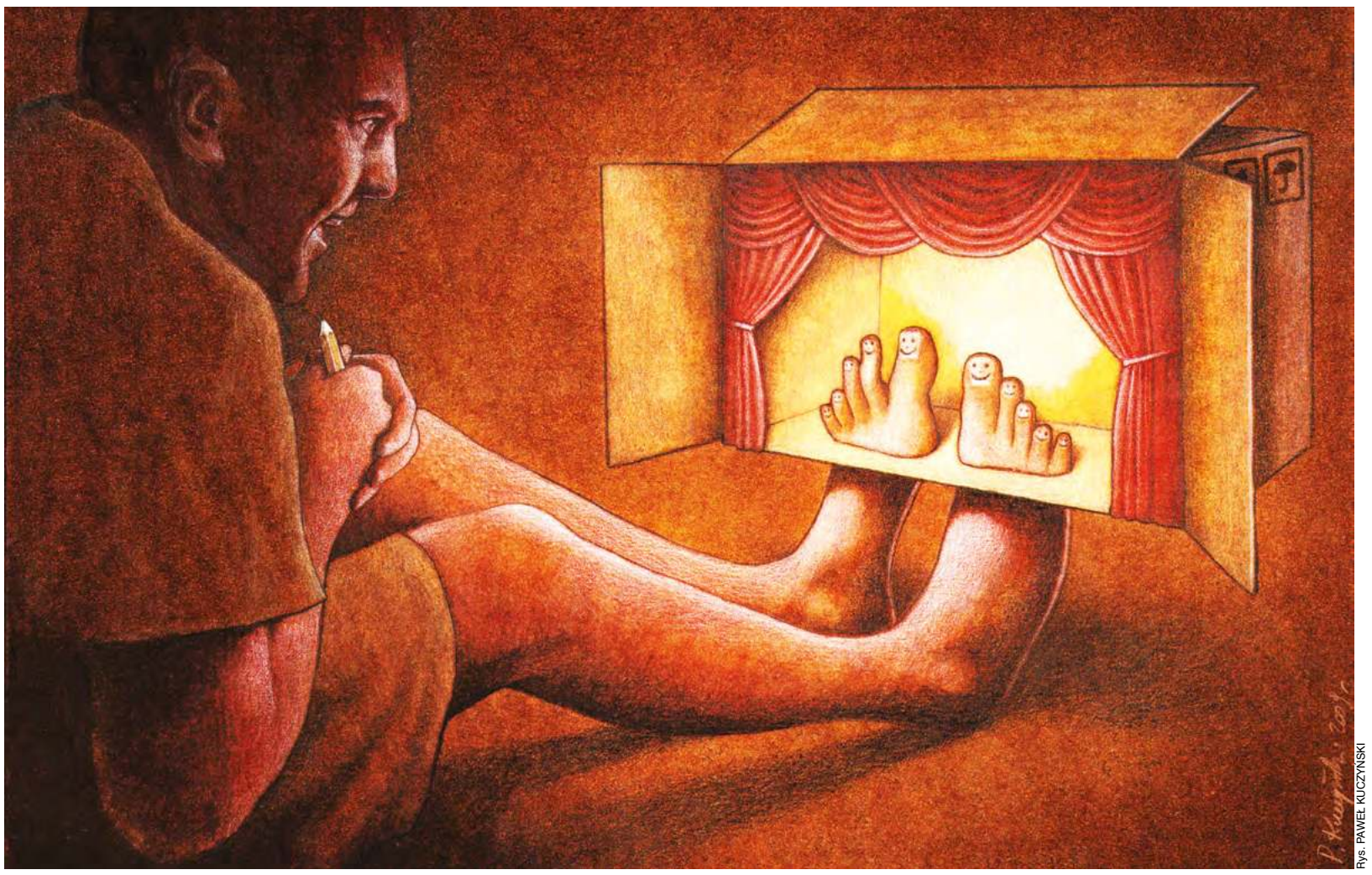

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

TKM: teatr, komisja, my

Złote Maski po nowemu

Nagroda Teatralna Złota Maska to prestiżowy laur przyznawany ludziom teatru na Śląsku od 1967 r. Przez dekady przyznawała go komisja złożona z teatrologów, pisarzy, twórców teatralnych i publicystów kulturalnych. Ostatnio okazało się wszakże, że brakuje jej umocowania politycznego.

Do jesieni zeszłego roku na czele komisji stał Tomasz Kordon – b. dyrektor Teatru Małego w Tychach i redaktor naczelny „Tyskiego Magazynu Kulturalnego". W skład komisji wchodzili znani na Śląsku ludzie teatru: selekcjoner najważniejszych polskich festiwali teatralnych Michał Centkowski, badaczka dramatu i teatru XX w. prof. Joanna Warońska-Gęsiarz, redaktor portalu encyklopediateatru.pl Janusz Legoń, teatroloża Magdalena Legendź – a także cenieni publicyści, od zawsze zajmujący się kulturą: ikona śląskiego dziennikarstwa Henryka Wach-Malicka, autorka dziesiątek książek i recenzentka teatralna miesięcznika „Śląsk" Marta Fox czy legendarny radiowiec Marek Mierzwiak, który w 1980 r. współtworzył NSZZ Solidarność Polskiego Radia Katowice, aby rozwiązać ją, gdy Solidarność ogólnopolska za rządów PiS utraciła pion moralny.

W sumie – było to 13-osobowe grono znawców i pasjonatów teatru; wielu z nich pracowało w komisji od dekad.

Od paru lat przebąkiwano jednak, że niektórzy dyrektorzy śląskich teatrów są z komisji niezadowoleni, bo nie zostają należycie doceniani. I że trzeba ten areopag pogonić, bo to starcy, nieznający trendów we współczesnym teatrze. Zasiedzieli się – mamy ich dość.

No i stało się! Członkowie kapituły otrzymali pismo podpisane przez marszałka województwa śląskiego Wojciecha Saługę: „Informuję, że Zarząd Województwa Śląskiego uchwałą nr 1181/27/VII/2024 z dnia 18 września 2024 r. odwołał dotychczasową komisję nagrody teatralnej Złota Maska w województwie śląskim i powołał ją w nowym składzie. Proszę przyjąć podziękowania"…

Członkowie komisji byli – delikatnie mówiąc – zaskoczeni. Zarząd województwa nigdy wcześniej nie mieszał się do składu komisji ani do jej prac – a niektórzy z nich przyznawali Złote Maski od 20 czy 30 lat.

– Nikt mnie nie poinformował oficjalnie o decyzji władz wojewódzkich. Powiedział mi o tym dopiero ktoś, ktoś zauważył uchwałę na stronie urzędu marszałkowskiego – mówi członkini odwołanej komisji Danuta Lubina-Cipińska, była szefowa działu kultury katowickiej „GW". – Nie chodziło nawet o sam fakt odwołania, tylko o formę... Odebrałyśmy to, razem z kilkoma koleżankami, jako rodzaj czystki.

Najbardziej zdumiewało jednak to, że komisja – która pracowała od początku roku, chodząc na wszystkie śląskie premiery – ma nagle zaprzestać pracy, na trzy miesiące przed końcem roku. Bez wyłonienia laureatów Masek w 11 kategoriach.

Zarząd województwa prawdopodobnie nie znał regulaminu konkursu i nie wiedział, że kapituła pracuje przez cały rok kalendarzowy, od stycznia do grudnia, a nie w trybie sezonu teatralnego – od września do czerwca.

Nawiasem mówiąc, pod uchwałą o odwołaniu komisji widniejącą na stronie zarządu województwa, 18 września 2024 r. miał pojawić się załącznik z nazwiskami nowych członków kapituły. W rzeczywistości pełny skład nowej kapituły ujawniono dopiero 22 stycznia 2025 r.

Zanim do tego doszło, członkowie odwołanej komisji poprosili o spotkanie Joannę Bojczuk, która w zarządzie województwa śląskiego odpowiada za sprawy kultury. Odbyło się ono w październiku, w nienadmiernie przyjaznej atmosferze.

– Czekaliśmy na zmianę przez osiem lat, a państwo zachowaliście się jak Ziobro, który odwoływał sędziów faksem. Wy odwołaliście nas listami poleconymi – mówił Marek Mierzwiak.

– Kto ustalał skład nowej komisji, której w dalszym ciągu nie ma? Jakie gremium? Jacy ludzie? Wszak my zostaliśmy odwołani, czyli nas nie ma i nowej komisji też nie ma. W oparciu o jakie kryteria zarząd województwa powoła członków komisji? – dopytywał Michał Centkowski.

Joanna Bojczuk nonszalancko poinformowała, że rozmawiała z przedstawicielami Forum Dyrektorów Teatrów Województwa Śląskiego i z kilkoma reżyserami – i to wówczas ustalono skład nowej kapituły. Żadne nazwisko nie padło. Zresztą niektórzy dyrektorzy śląskich teatrów mówili, że nikt ich nie pytał o zdanie.

– Kto nagrodzi artystów za ich tegoroczną pracę? – dopytywała Marta Fox.

Wszak był już październik i trudno było liczyć na to, że nowa komisja do końca grudnia obejrzy prawie 70 spektakli.

Zarząd wpadł na salomonowe rozwiązanie: Bojczuk zapowiedziała, że przygotuje nową umowę, w której powierzy odwołanej komisji dalsze pełnienie obowiązków – do 31 marca 2025 r., czyli uroczystej gali w Teatrze Śląskim w Katowicach, kiedy to rozdane miały zostać Maski za rok 2024.

Trzy członkinie komisji odmówiły współpracy, pozostała dziesiątka zacisnęła zęby i postanowiła dokończyć pracę – tak, żeby artyści nie poczuli się wystawieni do wiatru.

– Ale nie za dotychczasową jałmużnę – usłyszała Bojczuk.

Członkowie starej komisji oglądali 60–70 spektakli, jeżdżąc po całym województwie, za 1500 zł brutto za rok. Spanikowany zarząd województwa zaproponował im po 5000 zł – byle tylko zechcieli dokończyć pracę i wyłonić laureatów. Członkowie nowej komisji dostają po 10 tys.

31 marca 2025 r. w Teatrze Śląskim stara komisja wręczyła Złote Maski za rok 2024. Podczas gali odczytano oświadczenie dotychczasowej kapituły: „W naszym gremium nie ulegaliśmy nigdy naciskom politycznym. Wartość artystyczną zawsze stawialiśmy ponad prestiż instytucji czy siłę lokalnych koterii. W ocenie spektakli kierowaliśmy się zawsze merytorycznymi przesłankami, nagradzając oryginalne propozycje teatralne, kunszt i umiejętności artystów. Nagroda Teatralna Złota Maska w dotychczasowej formule przestaje istnieć".

Do nowej komisji trafiła senator PO Halina Bieda, a także członkini zarządu województwa z rekomendacji PO Joanna Bojczuk. Poza tym w ośmioosobowym składzie znalazło się kilkoro dziennikarzy. Wśród nich – godne odnotowania ze względu na swoją elastyczność Ewa Niewiadomska i obecna prezeska Radia Katowice, Ewelina Kosałka-Passia – które znakomicie sobie radziły za dwóch poprzednich układów, a teraz znowu są po właściwej stronie. Jedyną osobą, która naukowo zajmuje się teatrem, jest dr Magdalena Mikrut-Majeranek. Napisała pracę doktorską pt. „Projektowanie interakcji za pomocą nowych mediów we współczesnym teatrze tańca" i z upodobaniem pisuje recenzje ze spektakli teatralnych.

Powołanie nowej kapituły budzi sporo pytań i wątpliwości. Dlaczego znaleźli się w niej politycy? Czy członkini zarządu Joanna Bojczuk sama powołała się do komisji? Czym spowodowane było wyrzucenie osób od lat systematycznie śledzących śląski teatr – i to w taki sposób: błyskawicznie, listami poleconymi? Dlaczego powołano osoby, które mieszkają lub pracują w Warszawie? Czy naprawdę znajdą one czas, aby prześledzić kilkadziesiąt premier w roku w województwie śląskim? Dlaczego nową komisję w pełnym składzie powołano dopiero 22 stycznia 2025 r., podczas gdy powinna rozpocząć pracę już 1 stycznia?

Wątpliwości moje budzi również zażyłość – czy chociażby tylko znajomość – pomiędzy niektórymi członkami komisji i aspirującymi do nagród artystami. Ewa Niewiadomska z Radia Katowice zasiada w radach programowych Teatru Zagłębia w Sosnowcu i Teatru Śląskiego, podczas gdy dyrektor Teatru Śląskiego, Robert Talarczyk, jest członkiem rady programowej Radia Katowice. Niewiadomska zapewnia, iż nie ma kłopotów z obiektywizmem, a moje pytania są insynuacją. Inna członkini nowej kapituły, Aneta Chwalba, od wielu lat jest autorką magazynu teatralnego TVP Katowice, realizowanego we współpracy z Forum Dyrektorów Teatrów Województwa Śląskiego.

Kiedyś dobry obyczaj wymagał, aby recenzenci nie znali prywatnie twórców spektakli i wykonawców, o których pisali. Ten dobry obyczaj powinien tym bardziej dotyczyć tych, którzy artystom nagrody przyznają.

A tak swoją drogą: pytania o to, kto i kiedy wybierał członków tej nowej komisji, pozostają bez odpowiedzi. Może sami się wybrali?

JAN PICHETA

Warsaw SerialCon, Green Film Festiwal, Kino Letnie Sopot-Zakopane, Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi i Mastercard Off Camera. To przykład klasycznego artwashingu – korporacyjnego sponsoringu sztuki, dzięki któremu wielkie koncerny poprzez mecenat relacji z instytucjami kultury poprawiają reputację i zacierają negatywny wizerunek. Artwashingiem posługują się władze miast, deweloperzy, spekulanci nieruchomości i czyściciele kamienic. System służy do odwracania uwagi od kontrowersyjnych interesów czy, mówiąc wprost, przekrętów, do uspokajania nastrojów i usypiania czujności lokalnej społeczności. Polska od lat jest idealnym poligonem dla stwarzania pozorów działania pro bono oraz obłaskawiania nieprzychylnych mediów.

Dla przykładu: na warszawskiej Pradze Północ wspierane przez deweloperów i władze miejskie działania takie jak udostępnianie artystom lokali na preferencyjnych warunkach, by później przekształcić te przestrzenie (po wyjebaniu wspomnianych artystów) w komercyjne galerie lub ekskluzywne biura, przyczyniły się do nobilitacji dzielnicy. Przyciągnęły zamożniejszych mieszkańców i turystów, w efekcie czego dzielnica stała się modna. To doprowadziło do wzrostu cen nieruchomości i wypierania biedoty w jeszcze głębszy kanał.

Naturalnie na niewielu robi to wrażenie. Niewygodnie dyskutować z kieliszkiem wina w dłoni zarówno o lokalnych obdartusach, jak i głodowej śmierci palestyńskich obywateli. Kapitalistyczna sztuka „uszlachetnia" wizualnie nie tylko przestrzenie, ale i sumienia.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA

eprasa.pl 2cbfbc2498

Powódź głupoty

Polska drugim Teksasem

Co łączy pogodę, Trumpa i oszołomów na granicy polsko-niemieckiej? Wbrew pozorom więcej, niż mogłoby się wydawać.

Na początku lipca w amerykańskim stanie Teksas doszło do katastrofalnej w skutkach powodzi błyskawicznej. W wyniku wkurwu Matki Natury do domu Pana odeszło co najmniej 129 osób, a 170 wciąż uznaje się za zaginione.

Shit happens

Lokalni urzędnicy za katastrofę natychmiast obwinili rządowe cięcia w Narodowej Służbie Pogodowej (NWS) – i wiele się nie pomylili. Meteorolodzy NWS skrupulatnie przewidzieli załamanie pogody i wydali trzy coraz pilniejsze ostrzeżenia. Konkretnie o pierwszej w nocy, czwartej i szóstej rano. Szkopuł w tym, że władze finalnie zdemolowanego przez żywioł miasta Kerrville wezwały mieszkańców obszarów położonych wzdłuż rzeki Guadalupe do natychmiastowego przeniesienia się na wyżej położone tereny dopiero po siódmej rano. W toku wnikliwej analizy okazało się, że brakującym ogniwem między NWS a miejskimi służbami bezpieczeństwa okazał się pracownik służby pogodowej odpowiedzialny za koordynację między nimi. Odszedł na wcześniejszą emeryturę pod presją Departamentu Efektywności Rządu (DOGE) i nie został zastąpiony.

Żeby było mniej zabawnie, wiewiórki z CNN doniosły, że należące do Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego (FEMA)

zespoły poszukiwawczo-ratownicze nie mogły od razu zareagować na katastrofę, ponieważ sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem wydała rozporządzenie, iż wszelkie wydatki FEMA przekraczające 100 tys. dol. muszą uzyskać jej osobistą zgodę.

Rys. OBYWATEL JANEK

Tym samym Noem dała glejt na rozmieszczenie zespołów FEMA dopiero 72 godziny po rozpoczęciu powodzi.

Demokraci i byli (masowo zwolnieni przez DOGE) urzędnicy Narodowej Służby Oceanicznej i Meteorologicznej USA (NOAA) stwierdzili, że stało się to, przed czym od dawna ostrzegali. Zarządzone przez republikanów cięcia wydatków, a także przerwanie niektórych programów obserwacyjnych z zakresu klimatologii i meteorologii przyniosły gorzkie owoce. Biały Dom spuścił tę argumentację w kiblu.

Rzeczniczka Biura Budżetowego Białego Domu Rachel Cauley – odrzucając sugestię, jakoby decyzje polityczne Trumpa mogły mieć jakiś wpływ na skutki katastrof – stwierdziła nawet, że „niektórzy próbują wykorzystać sytuację do zdobycia punktów politycznych, zrzucając winę na niemające z tym żadnego związku cięcia budżetowe". *Sure…*

Cena propagandy

Magazyn „Time" wyliczył, że wynoszący 6,6 mld dol. roczny budżet wspomnianej NOAA stanowił zaledwie 0,097 proc. wydatków USA w poprzednim roku podatkowym. Tymczasem tylko w 2024 r. Stany Zjednoczone doświadczyły 27 katastrof pogodowych lub klimatycznych, z których każda przyniosła straty przekraczające miliard dolarów. Mimo to republikanie nie zamierzają się wycofać z wielomiliardowych cięć we wszystkich agencjach zajmujących się prognozowaniem pogody i klimatu oraz planowaniem chociażby zarządzania zbiornikami wodnymi w celu zapewnienia wystarczającej ilości wody pitnej i uniknięcia powodzi.

Ludzie Trumpa zamierzają zlikwidować m.in. całe działy badań atmosferycznych w NOAA, połowę działu naukowego NASA, laboratoria badające ekstremalne zjawiska pogodowe czy monitorujące pogodę statki kosmiczne, które obecnie znajdują się na orbicie. Naturalnie spece z MAGA zakładają tym samym dalsze zwolnienia tysięcy naukowców.

Nie szkodzi, Trump i tak nieźle na tym wyjdzie. Wielka grupa republikańskich wyborców nie tylko uważa, że globalnego ocieplenia nie ma, ale sądzi, że powodzie, huragany i reszta mało przyjemnych w konsekwencjach zjawisk atmosferycznych powstaje wskutek tajemniczych i oczywiście złych sił. Jakich? Cóż, to dopiero historia.

Trump wielokrotnie nazywał zmiany klimatyczne „oszustwem" lub „mitem", sugerując, że jest to koncepcja stworzona przez Chiny, aby osłabić konkurencyjność amerykańskiego przemysłu. Co więcej, współpracownicy z otoczenia prezydenta wykazują się równie bogatą – powiedzmy – fantazją w tej sferze.

Marjorie Taylor Greene, członkini Partii Republikańskiej i Izby Reprezentantów, sugerowała chociażby, że katastrofalne pożary, które nawiedziły Kalifornię w listopadzie 2018 r., były sprawką operującego w przestrzeni kosmicznej lasera powiązanego z rodziną Rothschildów.

Nieprzypadkowo też z amerykańskich stron rządowych zniknęły kluczowe dla monitorowania zmian klimatu raporty opracowane w ramach rządowej inicjatywy National Climate Assessment (NCA).

Weterani ściemy

Jeśli ktoś się zastanawia, jak można ożenić amerykańskie oszołomstwo z polskim, śpieszę z wyjaśnieniem.

7 lipca niejaki Anthony Tyler Mitchel, 39-letni mieszkaniec Oklahoma City, został aresztowany pod zarzutem celowego uszkodzenia mienia, włamania oraz zniszczenia infrastruktury krytycznej. Incydent dotyczył radaru pogodowego stacji telewizyjnej News 9 (KWTV), co spowodowało wyłączenie systemu na kilka godzin.

Inspiracją do zamachu miała być powódź i działania skrajnie prawicowej grupy Veterans on Patrol (VOP). Jej założyciel Michael „Lewis Arthur" Meyer w rozmowie z News 9 potwierdził, że jego organizacja obserwuje radary meteo w Oklahoma City i planuje dalsze kroki, gdyż wedle jej członków wspomniane urządzenia są używane przez rząd do manipulacji pogodą. Wcześniej grupa rozpowszechniała informacje, jakoby huragan Helena był „wynikiem działania armii USA", a sezon huraganów na Atlantyku z 2024 r. został celowo wywołany w celu zniszczenia sprzętu wojskowego w tym regionie. Brzmi mało logicznie? To preludium.

Organizacja powstała w 2015 r. w Arizonie, a jej pierwotnym celem było wspieranie weteranów wojennych. Niestety, Meyerowi (który weteranem nie jest) coś się popierdoliło i działanie ugrupowania zaczęło obierać zgoła inne kierunki.

Od 2018 r. grupa VOP, określana jako „antyrządowa milicja", wykorzystuje media społecznościowe do rozpowszechniania niepotwierdzonych antyimigranckich histerii. Weterani na Patrolu regularnie organizują zasadzki na migrantów wzdłuż południowej granicy USA w celu wykrywania i zgłaszania nielegalnych jej przekroczeń. Ponadto są znani z niszczenia infrastruktury wspierającej migrantów, takiej jak punkty z wodą i zaopatrzeniem organizowane przez organizacje humanitarne w pustynnych regionach Arizony.

Pobratymcy Meyera często przedstawiają migrantów jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, łącząc ich z przestępczością, handlem narkotykami lub terroryzmem – oczywiście bez żadnych dowodów. Grupa rozpowszechnia też teorię, jakoby migracja była częścią większego planu inwazji.

Może trochę na wyrost, ale brzmi znajomo, prawda? Szczególnie kiedy przy granicy kręcą się obywatelskie patrole wypatrujące nieistniejących hord uchodźców, a posłowie prawicy udowadniają, że skoro w lipcu jest zimno, to z klimatem wszystko jest okej. Ciekawe też, czy poseł Krzysztof Bosak doliczył się już wszystkich ukrywanych przez rząd Tuska ofiar ubiegłorocznej powodzi.

Brak zdecydowanej reakcji wobec prawicowych manipulacji ciężkiego kalibru, naginanie karku do robienia politycznego loda ich piewcom w zamian za marnej jakości profity i brak edukacji społeczeństwa zawsze kończą się tak samo – smarkatą w skutkach katastrofą.

Ku rozwadze.

IDALIA DUBICKA

Ile kosztuje pokój

Ukraiński wariant w Afryce

Dzienniki „The New York Times" i „Le Figaro" informują, że na skutek ofensywy rosyjskich wojsk coraz więcej ukraińskich zasobów mineralnych – które miały być przejęte przez USA – trafia pod kontrolę Rosji. Jednak ewentualne „straty" USA starają się rekompensować zdobyczami w Afryce.

Dla was pokój, dla nas koltan

W wyniku działań dyplomatycznych Stanów Zjednoczonych Demokratyczna Republika Kongo (DRK) i Rwanda zawarły porozumienie pokojowe mające zakończyć trzyletni konflikt zbrojny. Wielu polityków i komentatorów okrzyknęło porozumienie kolejnym sukcesem czołowego światowego negocjatora Donalda Trumpa, choć to nie on osobiście prowadził negocjacje, ale jego doradca Massad Fares Boulos. Dodatkowo powiązany z prezydentem poprzez małżeństwo z jego córką.

Tylko niektórzy obserwatorzy zwrócili uwagę na to, że w zamian za doprowadzenie do końca konfliktu USA uzyskają dostęp do cennych surowców. Chodzi tu przede wszystkim o koltan – rudę powstałą z mieszaniny kolumbitu i tantalitu. Oprócz zastosowania w kondensatorach i innych urządzeniach elektronicznych

koltan używany jest do produkcji pancerzy czołgowych i powlekania statków kosmicznych. Rozumowanie Amerykanów było proste. Skoro nie możecie się dogadać co do dysponowania minerałami, to my je sobie weźmiemy. Już nie będziecie mieli o co się bić i możecie zawrzeć pokój.

Negocjacje między DRK i Rwandą podejmowane były już wcześniej za pośrednictwem Angoli i Kataru, któremu nawet udało się doprowadzić do spotkania prezydentów obydwu państw. Nie powiodły się również poprzednie amerykańskie próby. W grudniu 2024 r. Joe Biden usiłował nakłonić prezydentów do rozmów; jednak bez rezultatu. Angolański ekspert Nkikinamo Tussamba twierdzi, że główną przyczyną był opór ze strony Rwandy, która – jego zdaniem – chce pokoju, ale na warunkach uwzględniających jej ekonomiczne interesy. Czyli, mówiąc wprost, dostępu do złóż znajdujących się w Kongo minerałów.

Dopiero interwencja obecnej administracji USA okazała się skuteczna. W Waszyngtonie doszło do porozumienia, które popisali ministrowie spraw zagranicznych: Konga, Therese Kayikwamba Wagner, i Rwandy, Oliviera Nduhungirehe. Pod aktem podpisał się również, niczym świadek na ceremonii ślubnej, amerykański sekretarz stanu Marco Rubio.

Rebelianci odpuszczają

Układ przewiduje zachowanie integralności terytorialnej DRK, a także rozbrojenie rebeliantów. Początkowo obawiano się, że z tym drugim punktem mogą być problemy: bojownicy z grupy M23 oświadczyli bowiem, że ich umowa nie dotyczy. M23 – Ruch 23 Marca – jest czołową siłą walczącą z wojskami DRK i bez jego zgody pokój jest nieosiągalny.

Jednak po trzech tygodniach od podpisania porozumienia, rebelianci ostatecznie zawarli podobny układ z władzami DRK. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że bez wsparcia ze strony Rwandy – której de facto są narzędziem – nie mają realnych szans w walce zbrojnej.

Zgodnie z tym dokumentem obie strony zobowiązują się do stałego zawieszenia broni, wszelkie ataki i próby zdobywania siłą nowych pozycji są zakazane, podobnie jak akty sabotażu i wszelkie działania, które mogłyby zaszkodzić procesowi porozumienia. Zobowiązano się także do zaprzestania propagandy nienawiści.

Ośrodki zagraniczne przyjęły porozumienie z entuzjazmem, choć niektórzy analitycy wskazują na brak regulacji prawnych pozwalających na karanie stron go nieprzestrzegających. Ponadto, rebelianci nadal – pomimo żądań ze strony władz w Kinszasie – pozostają na terenie Konga. Co może, acz nie musi być zarzewiem nowych konfliktów.

Jak zwykle chodzi o surowce

Kongo ma ok. 80 proc. światowych zasobów koltanu. Nic zatem dziwnego, że różne siły usiłują przejąć kontrolę nad prowincją Kivu we wschodniej części kraju – tam, gdzie leżą złoża rudy. Ostatnio, w styczniu, na teren prowincji wkroczyli rebelianci z M23 i bez zbytniego oporu ze strony kongijskiej armii zajęli dwa największe miasta: Goma i Bukavu. M23, utworzone przez kongijskich Tutsi, początkowo utrzymywało, że celem interwencji była ochrona jej współplemieńców. Kłóci się to jednak z ich późniejszym wypowiedziami.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

M23 jest czołową formacją zbrojną wchodzącą w skład Sojuszu Rzeki Kongo. Założycielem sojuszu jest Corneille Nangaa, który w jego imieniu zapowiedział marsz powstańców na stolicę i obalenie prezydenta Felixa Tshisekediego, co jednak nie nastąpiło.

Skonfliktowany z prezydentem Nangaa wcześniej był jego bliskim współpracownikiem. Jako przewodniczący komisji wyborczej miał przyczynić się do zwycięstwa Tshisekediego w wyborach prezydenckich. Tak przynajmniej uznano w Stanach Zjednoczonych, które nałożyły na niego sankcje za fałszowanie liczby głosów. Później Nangaa wszedł z prezydentem w konflikt o to, jakiej firmie należy przyznać prawo do eksploatacji cennych zasobów. Od tej pory stał się wrogiem numer jeden i został zmuszony do opuszczenia kraju. Na emigracji utworzył Sojusz Rzeki Kongo. Widząc, że nie ma szans na samodzielną walkę, sprzymierzył się z M23, choć sam nie jest etnicznym Tutsi.

Nie dały efektu siedmiokrotnie podejmowane próby osiągnięcia porozumienia między władzą i M23. Sytuację dodatkowo komplikowało zaangażowanie się w konflikt sąsiedniej Rwandy. Udzielała ona rebeliantom pomocy logistycznej, dostarczała im broń, a także przysyłała swoich wojskowych. Dodatkowo wojska Rwandy weszły na teren Konga, co zostało jednoznacznie potępione za granicą. Rada Bezpieczeństwa ONZ jednogłośnie przyjęła rezolucję wzywającą do natychmiastowego wycofania się sił Rwandy, bez warunków wstępnych. Podobne stanowisko zajęły Wspólnota Wschodnioafrykańska, Stany Zjednoczone i Francja, oświadczając, że suwerenność Konga nie może być przedmiotem negocjacji. Niemcy zapowiedziały wstrzymanie pomocy rozwojowej dla Rwandy, dopóki będzie ona wspierać M23.

Antagonizmy pomiędzy DRK i Rwandą mają długą historię sięgającą pogromu rwandyjskich Tutsi w 1994 r. Jednak w obliczu walki o strategiczne surowce nabrały szczególnej ostrości.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 2cbfbc2498

Przez miesiąc naród zgadywał, kogo szef PZPN wybierze na selekcjonera reprezentacji. Teraz zastanawia się, czy wybór był trafny.

Wybranek prezesa

Prezes PZPN Cezary Kulesza długo drażnił się z opinią sportową, nim wreszcie ogłosił, że selekcjonerem piłkarskiej reprezentacji Polski zostanie Jan Urban. Wyglądało to tak, jak gdyby prezes dobrze bawił się całą sytuacją. Pojawiały się przecieki, sam Kulesza podawał różne nazwiska, by później gubić tropy. A czas uciekał, bo już we wrześniu reprezentacja zagra w kolejnym meczu eliminacji mistrzostw świata i to nie z byle kim, bo z Niderlandami.

Czy podczas tego zmarnowanego miesiąca wybranek Kuleszy, gdyby został wcześniej wybrany, mógł coś zdziałać? Pozornie niewiele, bo piłkarze są na urlopach lub trenują w swoich klubach. Tylko nasza nieszczęsna Ekstraklasa wznowiła rozgrywki, ale w niej i tak prym wiodą cudzoziemcy, którym zresztą daleko do swoich narodowych reprezentacji. Selekcjonerzy, nazywani trenerami kadry, mają niewiele czasu na szkolenie zawodników. Mają ich do dyspozycji kilka dni przed ważnymi meczami. Można przeprowadzić dwie–trzy jednostki treningowe. Wypróbować jakiś wariant rozegrania stałych fragmentów, postarać się o wyrównanie przygotowania fizycznego poszczególnych piłkarzy, zbudować mentalnie zespół.

Ilust. PAWEŁ FERENC

Pięć lat, pięciu selekcjonerów

Powiedzmy otwarcie, że selekcjoner nie jest trenerem w takim sensie, w jakim rozumiemy to słowo. Musi wybrać najlepszych zawodników, zebrać ich na zgrupowaniu i ustalić plan taktyczny na mecz. Teraz rola ta przypadła Janowi Urbanowi, którego życiorys jest Polakom lepiej znany niż Marii Konopnickiej czy Józefa Ignacego Kraszewskiego, bo o tamtych uczyli się dawno w szkole podstawowej i fakty zdążyły wylecieć z głowy, a o nowym selekcjonerze trąbią wszystkie media. Jego curriculum vitae mamy więc świeżo w pamięci i wiemy, że pierwszym zadaniem będzie przekonanie Roberta Lewandowskiego, że warto grać w reprezentacji z kapitańską opaską, której pozbawił go Michał Probierz, lub bez niej.

Selekcjonerzy kadry (będę się raczej starał trzymać tego określenia) zmieniają się u nas często. W ostatnich pięciu latach było ich pięciu: Jerzy Brzęczek, Paulo Sousa, Czesław Michniewicz, Fernando Santos i Michał Probierz. Każdego – podobnie jak teraz Urbana – chwalono w chwili powołania, pokładano w nich wielkie nadzieje, żeby po krótkim czasie stwierdzić, że powołanie było błędem. Tylko Sousa sam odszedł, a raczej w niepięknym stylu uciekł z Polski do FC Flamengo, być może doszedł do wniosku, że w tym bałaganie nie da się niczego zrobić albo rzeczywiście – jak mówiono – skusiły go większe pieniądze.

W Ameryce Południowej jest krótka rozmowa – trzy porażki i do widzenia. To spotkało Portugalczyka. Później trenował włoską Salernitanę, aż wreszcie wylądował w Emiratach Arabskich.

Narażę się większości kibiców, ale moim zdaniem spośród wymienionej wcześniej piątki tylko powszechnie u nas nielubiany Sousa próbował coś zmienić w stylu gry polskiej drużyny, sięgał po oryginalne rozwiązania, próbował odejść od irytujących podań piłki w poprzek boiska i do tyłu.

Rekordziści

Nie mam zdolności Krzysztofa Jackowskiego czy wróżbity Macieja, nie potrafię przewidywać przyszłości, ale

> **mogę się założyć, że już całkiem niedługo okaże się, że Jan Urban nie spełnił oczekiwań. To po prostu wynika z historii futbolu, nie tylko tej najnowszej. Tym bardziej że nie widzę naprawdę dobrych piłkarzy, a bez nich nawet geniusz niczego nie wymyśli.**

Zmieniają się czasy, obecnie trenerska karuzela kręci się szybko i trudno utrzymać stanowisko przez dłuższy czas. Trener Manchesteru United sir Alex Ferguson pracował z klubem 26 lat i osiem miesięcy. Arsène Wenger prowadził londyński Arsenal F.C. od 1996 do 2018 r. To najbardziej znani szkoleniowcy, którzy długo utrzymali posady, ale wcale nie są rekordzistami. Guy Roux prowadził AJ Auxerre przez 36,5 roku. Wszyscy są już emerytami.

Spośród wciąż aktywnych trenerów wyróżnia się Argentyńczyk Diego Simeone, który przewodzi klubowi Atlético Madryt od 14 lat. Ostatnio jego drużyna spisywała się słabo, pojawiły się głosy, że opuści klub. Simeone stwierdził krótko: „Zostaję!". Jego trzej synowie grają w dobrych klubach, a Giuliano trenuje pod okiem ojca i jest jednym z najlepszych napastników Atlético.

Nie mieszajmy jednak pojęć. Trenerzy klubowi to nie to samo co selekcjonerzy reprezentacji narodowych. Tu kariery trwają dużo krócej. Fernando Santos podpisał kontrakt z Polskim Związkiem Piłki Nożnej w styczniu 2023 r., a już we wrześniu tego roku po przegranych w fatalnym stylu meczach został odwołany ze stanowiska. Był najkrócej, po Zbigniewie Bońku, urzędującym selekcjonerem w ostatnich latach.

A przecież wcześniej radził sobie w tej roli bardzo dobrze. Grecję prowadził przez cztery lata, a z Portugalią osiągnął naprawdę wielkie sukcesy. Po dwóch latach pracy wywalczył z piłkarzami złoty medal Euro 2016. Doskonale pamiętamy tę imprezę, bo tam po raz ostatni dobrze grała nasza reprezentacja. Wyeliminowana została – właśnie przez Portugalię – w rzutach karnych, a w regulaminowym czasie było 1:1.

Kibice przypominają sobie dramatyczny finałowy mecz, w którym Portugalczycy pokonali gospodarzy – Francuzów – 1:0, a drużyną z ławki kierował faktycznie nie selekcjoner, ale kontuzjowany Cristiano Ronaldo.

Powrót do przeszłości

Selekcjoner może liczyć na sukcesy, gdy ma świetnych piłkarzy. Bez nich jest bezradny niczym Donald Tusk wobec wzajemnych pretensji koalicjantów. Warto o tym pamiętać, gdy przejdziemy do omawiania przyszłości, jaka czeka Jana Urbana z reprezentacją narodową. Santos prowadził Portugalię przez siedem lat, nim trafił na krótko nad Wisłę, a później losy zaprowadziły go aż do Azerbejdżanu, gdzie – z tego co czytam – nie wiedzie mu się pod względem sportowym dobrze, bo pod względem finansowym na pewno nie narzeka. Azerbejdżan to dzięki ropie naftowej bardzo bogaty kraj.

Pisząc o wielkich selekcjonerach, nie można nie wspomnieć o Hiszpanie Vincente del Bosque. Wraz z prowadzoną przez siebie reprezentacją zdobył dwa najważniejsze w futbolu trofea: mistrzostwo świata (2010 r.) i mistrzostwo Europy (2012 r.). W 2014 r. kierowana przez niego Hiszpania nie wyszła z grupy eliminacyjnej mistrzostw świata. Del Bosque pracował w sumie z reprezentacją przez osiem lat, co i tak jest znaczącym osiągnięciem.

Czas wreszcie pomówić o Polsce. Żeby wskazać na szkoleniowca najdłużej pracującego z reprezentacją narodową, musimy cofnąć się do czasów przedwojennych. Był nim Józef Kałuża, piłkarz i trener związany z Krakowem, Cracovią i reprezentacją Polski.

Przed wojną nie istniało pojęcie trenera czy też selekcjonera kadry. Stanowisko oficjalnie nazywało się „kapitanem związkowym federacji". W 1932 r. objął je były środkowy napastnik Cracovii Józef Kałuża i pełnił aż do wybuchu II wojny światowej. Pod jego kierunkiem reprezentacja Polski zajęła czwarte miejsce podczas igrzysk olimpijskich w Berlinie w 1936 r. i po raz pierwszy w historii zakwalifikowała się do finałów mistrzostw świata we Francji w 1938 r., gdzie przegrała po dramatycznym meczu z Brazylią 5:6, a cztery bramki strzelił Ernest Wilimowski. Ślązak nie mógł wcześniej zagrać w igrzyskach olimpijskich. Oficjalnie usunięty został z reprezentacji za libację alkoholową. Mój nieżyjący już przyjaciel, dziennikarz i historyk sportu Andrzej Gowarzewski, z którym sami odbyliśmy niejedną libację alkoholową, wyszperał jednak w dokumentach, że przyczyna była inna. Na Wilimowskiego padło podejrzenie, że za grę w piłkę brał pieniądze, a w tamtych czasach władze olimpizmu przestrzegały zasady amatorstwa z żelazną konsekwencją.

Po raz ostatni jako kapitan związkowy Kałuża poprowadził reprezentację tuż przed wybuchem wojny, w sierpniu 1939 r. Biało-czerwoni wygrali niespodziewanie z jedną z najsilniejszych podówczas jedenastek – z Węgrami 4:2. Zespół Kałuży rozegrał 39 oficjalnych spotkań, z których wygrał 10. Na jego czele stał przez siedem i pół roku, co jest do dziś niepobitym rekordem. Za jego kadencji reprezentacja osiągnęła największe sukcesy, aż do lat 70., czyli do czasu, gdy na jej czele stanął Kazimierz Górski.

Józef Kałuża odrzucił propozycję władz okupacyjnych objęcia funkcji sportführera Generalnego Gubernatorstwa; zmarł w Krakowie w 1944 r. na zapalenie opon mózgowych, a jego pogrzeb przerodził się w patriotyczną manifestację.

Żelazna ręka Górskiego

Józefa Kałuży oczywiście nie miałem okazji choćby zobaczyć. Kazimierza Górskiego poznałem osobiście, choć trudno mówić o jakiejś bliższej zażyłości. Po prostu trener był człowiekiem niesamowicie otwartym, sympatycznym, z szacunkiem odnosił się nawet do młodziutkiego dziennikarza, jakim byłem.

Dawno temu opisałem w tym miejscu podróż autokarem z naszą słynną kadrą złotych medalistów olimpijskich na spotkanie z kibicami do oddalonej o ponad 100 km od Warszawy niewielkiej miejscowości (zapomniałem jej nazwy). Kilkugodzinny w sumie pobyt z naszą kadrą i jej selekcjonerem pozwolił mi później zrozumieć sukces, jaki odniosła podczas mistrzostw świata w RFN. W autokarze każdy piłkarz robił to, co chciał, jedni gadali, inni grali w karty, inni coś tam jeszcze, ale ani przez moment nie było wątpliwości, kto jest szefem. Kazimierz Górski tylko wyglądał tak dobrodusznie. Potrafił dzierżyć zespół twardą ręką. Co najważniejsze – trzymał się zasady, że nie dopasowuje się zawodników do taktyki, ale taktykę do zawodników. A miał szczęście trafić na pokolenie wybitnych piłkarzy.

Od starszych kolegów, którzy mieli możliwość towarzyszyć polskiej ekipie w RFN w słynnej ich bazie w miasteczku Murrhardt, dowiedziałem się o incydencie, jaki miał tam miejsce. Po wygraniu w niesamowitym stylu fazy grupowej Kazimierz Górski pozwolił swoim chłopakom pójść na piwo. Na jednym się nie skończyło, trener postanowił wyciągnąć konsekwencje i jednego z członków drużyny (już nie pamiętam którego) dla przykładu odesłać do domu. Działacze ubłagali selekcjonera, żeby tego nie robił, bo wówczas o incydencie dowie się opinia publiczna w kraju, a kadra powinna być jak żona Cezara poza wszelkimi podejrzeniami.

Kazimierz Górski prowadził reprezentację przez sześć lat. W 1976 r. Polska zdobyła w Montrealu srebrny medal olimpijski, co uznano w kraju za porażkę. Górski podał się do dymisji i wyjechał do Grecji, gdzie z sukcesami trenował kluby tamtejszej ligi, m.in. zdobył mistrzostwo kraju z Panathinaikosem A.O.

Zmarł po ciężkiej chorobie nowotworowej w wieku 85 lat, a w jego pogrzebie uczestniczyły nie tylko tłumy kibiców, ale też przedstawiciele najwyższych władz państwowych i piłkarskich.

Jaki trener, niezależnie od dyscypliny sportowej, zajmował swoje stanowisko najdłużej? Nikt i nigdy nie wyrówna chyba rekordu Nowozelandczyka Alberta „Archy'ego" Jelleya. Swojego pierwszego biegacza wysłał na igrzyska olimpijskie w Melbourne w czasie, gdy w Warszawie wybudowano Pałac Kultury i Nauki, czyli w 1956 r. Były gimnastyk i bokser swoich lekkoatletów uczył biegania na średnich dystansach przez wiele dekad.

102-letni dziś „Archy" Jelley karierę trenerską zakończył na przełomie tysiącleci. Długo w bezczynności nie wytrwał. Wrócił do trenerki pięć lat po przejściu na emeryturę i przygotował Hamisha Carsona do startu w biegu na 1500 m podczas igrzysk olimpijskich w Rio de Janeiro w 2016 r. Później definitywnie ogłosił przejście na emeryturę, ale jako zapalony brydżysta został prezesem brydżowego klubu Mt Albert.

Tylko dwaj selekcjonerzy reprezentacji mają w Polsce swoje pomniki: Józef Kałuża w Krakowie i Kazimierz Górski w Warszawie. Kałuża ma swoje ulice w rodzinnym Przemyślu i oczywiście w Krakowie, Górski jest patronem wielu szkół, a przede wszystkim największego Stadionu Narodowego.

Wraz z objęciem funkcji selekcjonera reprezentacji Polski Janowi Urbanowi wszyscy składają życzenia. Może doczeka się swojego pomnika i swojej ulicy? Tego mu życzę, bo życzę dobrze polskiej piłce.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 23.07.2025 r.

eprasa.pl 2cbfbc2498

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Oglądając w telewizji wystąpienie marszałka Hołowni, senator Michał Kamiński przypomniał sobie, jak kilka lat temu dopadł go jakiś człowiek i wykrzyczał: – Takie kurwy polityczne jak ty muszą sczeznąć.

Potem splunął i dokończył: – Zniknąć!

Kamiński wówczas się tym nie przejął, bo nie miał zwyczaju się przejmować. W polityce czuł się wolny, nic go nie mogło krępować. Nic ani nikt. Oddawał hołdy komu chciał, czy to Pinochetowi, czy Tuskowi, czy Kaczyńskiemu, czy Kosiniakowi, czy – jak teraz – znów Kaczyńskiemu.

Hołdy? – zamyślił się i przeniósł nogę z podłogi na kostkę do gry, która pełniła funkcję pufa. – To nie hołdy, to taktyka.

• • •

Po tym, jak Kamiński oskarżył Kidawę-Błońską o szpiegowanie go, poczuł, że ma za duże buty. Zmierzył prawą stopę i faktycznie – miała 27 cm. Lewa też 27. W łazience wydawało mu się, że lustro wisi wyżej, a czyszcząc zęby, stwierdził, że bliżej mu do kranu.

• • •

– Schudłeś? – zapytał Bielan podczas pierwszego spotkania w czworokącie Kaczyński–Hołownia–Bielan–Kamiński.

Kamiński kiwnął głową.

– Ale schudłeś w dół! – zawołał Bielan. – Jesteś teraz niewiele wyższy od Szefa.

Szefem obaj nazywali Kaczyńskiego. Hołownia był dla nich Ministrantem.

• • •

Po tym spotkaniu Kamiński stanął przy drzwiach i na framudze pisakiem oznaczył swój wzrost. Nazajutrz zrobił to samo: był niższy o centymetr.

• • •

Podczas drugiego spotkania z Hołownią Szef zauważył: – Co ty taki mały jesteś, Misiek?

– To przez ten gips…

Po powrocie do domu zmierzył się – miał półtora metra wzrostu.

• • •

Wkrótce ze złamanej nogi spadł mu za duży gips.

• • •

Teraz chodził po domu na golasa, bo wszystkie ubrania były za duże, sikał do filiżanki, a jadł okruszki z podłogi. Mierzył nie więcej niż 30 cm. I nadal się kurczył.

Przypomniał sobie tego typa, który życzył mu sczeźnięcia i zniknięcia.

– Wykrakałeś, skurwysynu! – zawołał głosikiem cienkim jak żyletka.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN nie znalazła się w nowym rządzie. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** też nie, więc uznały, że nie ma o czym gadać.

Wołk-Łaniewska: – Na początku chciałam się pochwalić…

Senyszyn: – Niech zgadnę: Obajtkiem?

– Dokładnie. I chwalę się przed tobą, bo ciebie jeszcze wtedy nie było w „NIE", tak to bym musiała chwalić nas…

– No niech ci będzie. To może ja wyjaśnię Czytelnikom, o co chodzi – żebyś się nie przechwaliła. Otóż jednym z dwóch punktów wniosku o uchylenie immunitetu Obajtka, który polska prokuratura wysłała do Parlamentu Europejskiego, jest to, że dwa lata temu zakazał sprzedaży numeru „NIE" na stacjach Orlen.

– To brzmi niepoważnie – ale takie nie jest. Po pierwsze dlatego, że żyjemy ze sprzedaży – w ogóle nie mamy reklam. Tak to sobie wymyślił Urban w roku 1990, bo miał ambicję robić gazetę dla Czytelników, a nie dla biznesu, który płaci za reklamę i wymaga lojalności, niczym cosa nostra.

– Albo Donald Trump, co zresztą nie robi wielkiej różnicy. Swoją drogą, ciekawe, czy Urban umieszczałby nekrologi Czytelników, którzy nie prenumerowali jego tygodnika, czy – jak pewien amerykański wydawca – odmawiałby, twierdząc, że dla niego nigdy nie żyli. Ale wróć do obajtkowego wątku.

– No więc, po drugie – i pewnie nawet ważniejsze, w ogólnym planie zjawisk – Obajtek, komsomolec szczerotka, napisał na Twitterze, o co mu naprawdę chodziło: „Nie ma zgody na mowę nienawiści i niszczenie autorytetu Świętego Jana Pawła II". Inkryminowana okładka nie zawierała „mowy nienawiści"…

– Raczej mowę obrony, bo widniał na niej, o ile pamiętam, JP2 z ferulą, do której zamiast Jezusa przytroczona była lalka wyobrażająca dziecko płci męskiej.

– Co nie było atakiem na wiarę, tylko dość oczywistym nawiązaniem do krycia pedofilów przez papaja. To ważne, bo o ile w kodeksie karnym jest zapis dotyczący mowy nienawiści – publiczne znieważanie z powodu m.in. wyznania – to nie ma zapisu o niszczeniu autorytetu JP2.

– Ale jest obraza głowy obcego państwa, a Watykan, z powierzchnią 44 ha, jest najmniejszym państwem na świecie. A tak swoją drogą: to, że przez 20 lat od zgonu Wojtyły posłowie nie uchwalili jakiejś ustawy o ochronie JP2 – to prawdziwy cud. Za sanacji już trzy lata po śmierci Piłsudskiego przyjęli ustawę „o ochronie Imienia Józefa Piłsudskiego", stanowiącą, że „kto uwłacza Imieniu Józefa Piłsudskiego, podlega karze więzienia do lat 5".

– Co i tak było rozwiązaniem kompromisowym, bo jeden weteran legionista wnioskował o podniesienie do 15. Bardzo mi się podobało wystąpienie posła sprawozdawcy ustawy: „Imię Józefa Piłsudskiego pod szczególną ochroną znaleźć się musi, a to tym bardziej, że żyją jeszcze uprzedzenia, a nawet nienawiści ludzi małych, którzy nie rozumiejąc JP, uczucia całego narodu ośmielają się znieważać"…

– Wystarczy zamienić JP na JP2 i będzie gotowe wystąpienie w debacie nad ustawą o ochronie Imienia Jana Pawła II…

– Świętego Jana Pawła II! Zważaj sobie!

– O, przepraszam: „ustawą o ochronie Imienia Świętego Jana Pawła II". Nawrocki by im to od razu podpisał.

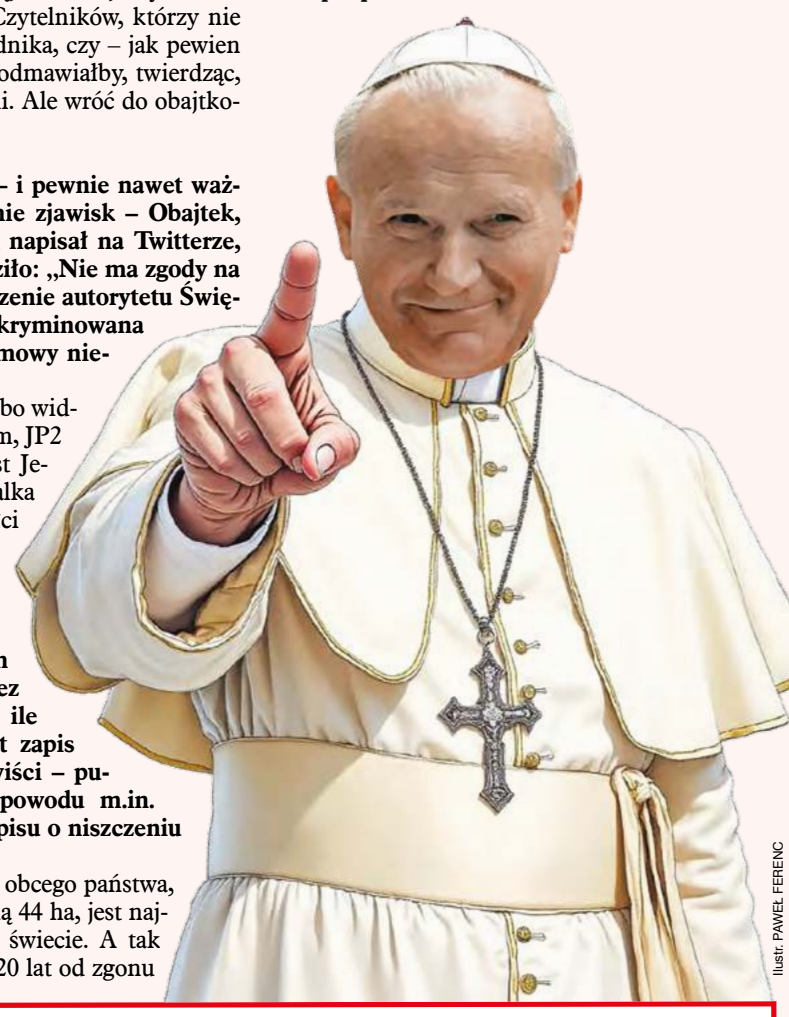

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Nawrocki tak. Ale myślę sobie – może nadmiernie optymistycznie – że nawet uwzględniając dewotów z PSL i ciotkę Kosiniaka aspirującą do świętości, w tym sejmie nie byłoby większości do uchwalenia takiej ustawy.

– A ja przeciwnie. Myślę, że by uchwalili, bo wśród polityków kult JP2 wciąż jest żywy, a strach przed podejrzeniem, że go niedostatecznie kochają, jeszcze żywszy. Nie wiem, czy pamiętasz, że 9 marca 2023 r., kiedy sejm podejmował uchwałę w sprawie obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II, Koalicja Obywatelska schowała głowę w piasek i nie wzięła udziału w głosowaniu. I pewnie powtórzyłaby ten numer, choć przecież nie można bronić czegoś, co nie istnieje.

– Pamiętam, pamiętam. Powiedziałaś wtedy, że „Jan Paweł II ma poniekąd szczęście, że nie żyje, gdyż zmarłych się nie sądzi". A wracając do Obajtka – powiedz mi, jako była europoślica, czy mam rację: że ci, co drwią z tego wniosku prokuratury, mylą się o tyle, że akurat kwestia formalnej wolności prasy jest w PE traktowana dość poważnie. I fakt, że koleś, który z politycznego nadania zarządza spółką skarbu państwa, rości sobie pretensje do cenzurowania prasy – może nie zostać w Brukseli dobrze przyjęty.

– Nie tylko może. Uważam, że wniosek prokuratury zostanie w PE przegłosowany bez większego kłopotu.

– Wprawdzie potencjalny wyrok jest dość marny – grzywna albo ograniczenie wolności – ale z przykładu Bąkiewicza wiemy, jak bolesny dla prawaków jest obowiązek prac bez wynagrodzenia. À propos cenzury: urzekła mnie historia Stevena Colberta. To gospodarz programu „The Late Show" – formuły, której u nas nie ma, niestety: trochę publicystyki, trochę stand-upu, trochę rewii, dużo inteligentnej drwiny z rzeczywistości. Colbert robi to tak błyskotliwie i jest tak przystojny, że wybaczam mu nawet fakt, że jest katolem, choć w ogóle się tego nie wstydzi. I otóż ostatnio Colbert ogłosił, że stacja CBS, która nadaje jego program, postanowiła przestać go nadawać w maju przyszłego roku. Decyzja była „stricte finansowa" i nie ma żadnego związku z faktem, iż Colbert nazwał ugodę Paramount – właściciela CBS – z Donaldem Trumpem „wielką grubą łapówą".

– A to była łapówa?

– Ależ skąd. Prezydent Trump wytoczył CBS proces o to, że Kamala Harris za dobrze wypadła w programie „60 minutes", za co zażądał 20 miliardów dolków. Pozew był kompletnie z dupy – specjaliści od pierwszej poprawki, czyli wolności słowa w USA, określili go jako „frywolny" – ale Paramount aktualnie planuje przejęcie Skydance Media. Na co – w ramach przepisów antymonopolowych – musi mieć zgodę rządu…

– Czyli Trumpa.

– Dokładnie. Toteż Paramount podwinął ogon i zapłacił Trumpowi 16 milionów. Przy postulowanych 20 miliardach to grosze, więc Colbert nie miał ani odrobiny racji, gdy nazwał to „wielką, grubą łapówą". To była taka malutka łapówenka. I tydzień później stacja skancelowała jego show.

– Jak sama widzisz, został ukarany za kłamstwo.

– Wiesz, tak na to nie spojrzałam. Może dlatego, że entuzjastycznie skupiałam się na tym, jak upada ostatnia amerykańska świętość: fanatycznie traktowana wolność słowa. A Trump bardzo się cieszy i napisał na swoich socjalach, że „jest absolutnie zachwycony tym, że Colbert został wylany, bo jego talent jest nawet mniejszy od jego ratingów". Na co Colbert odpowiedział: „Jak pan śmie! Czy człowiek bez talentu byłby w stanie skomponować następującą satyryczną ripostę?". Tu spojrzał wyzywająco wprost w kamerę, na ekranie otoczyła go złota ramka i rzekł: „Idź się jebać". I to jest właściwy sposób debatowania z prawackimi dyktatorkami.

– Tusk powinien to sobie wziąć do serca.

– Uczciwie powiedziawszy, do Tuska ta oferta też się odnosi.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

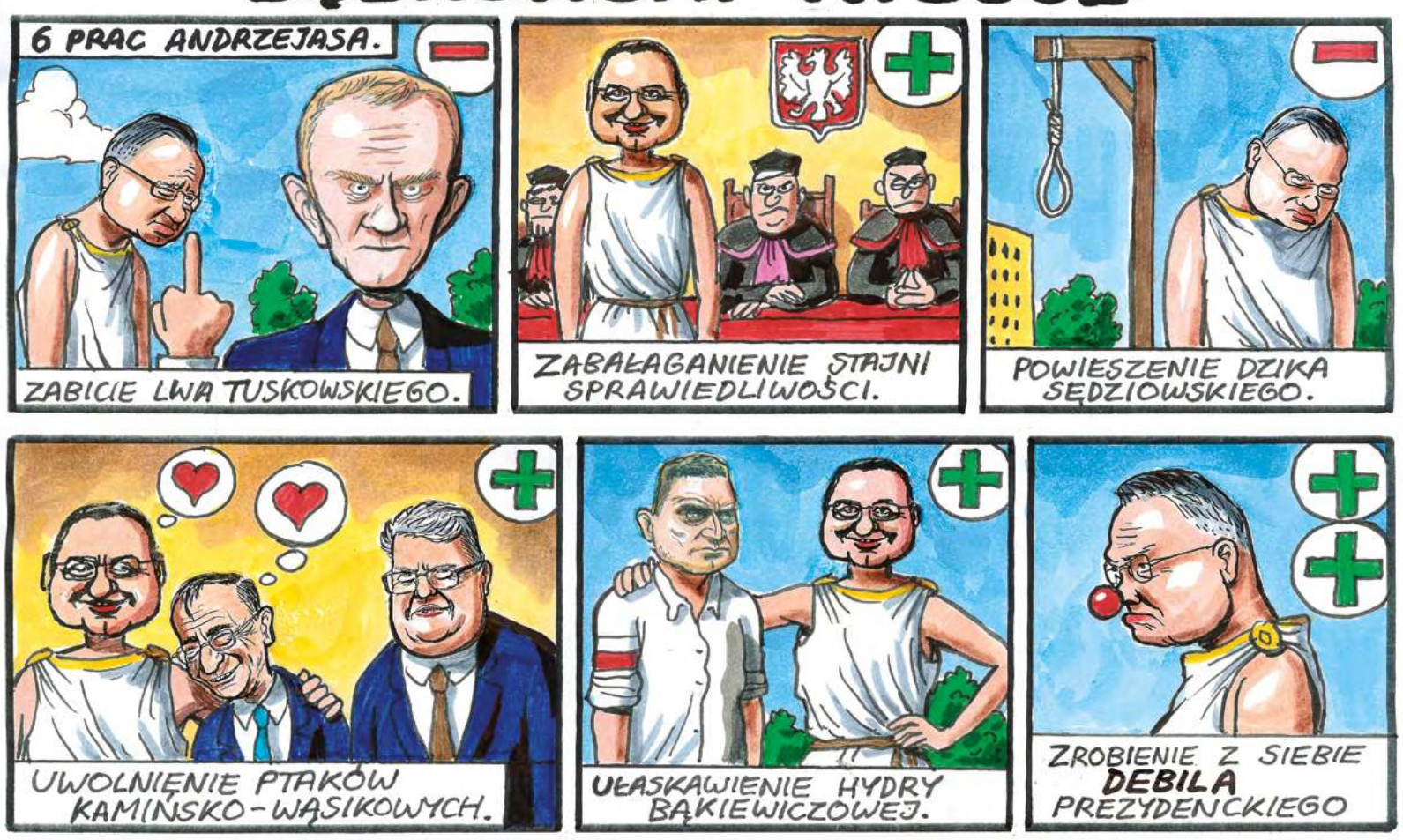

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 2cbfbc2498